Nr. 12 Kraków, grudzień 1908. Rok IX.



:: PISMO DLA KOBIET ::
wychodzi w połowie każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:
rocznie . . kor. 1·50 | za granicą . marek 1·50
półrocznie „ 0·80 | pojedynczy numer 15 gr.
W państwie rosyjskiem:
Rocznie 1 rubel. | Półrocznie 50 kopiejek.

ADRES REDAKCYI: SZPITALNA 7, II P.

W NOC BOŻEGO NARODZENIA.

I zwiedź z wędrówki długiej
Nasz naród do Wszechmocy,
I daj, co mają inni,
Gdy przyjdziesz jako Dziecię tej nocy

Bożego Narodzenia –
Ta noc jest dla nas święta –
Niech idą w zapomnienia
Niewoli gnuśne pęta.

Daj nam poczucie siły
I Polskę daj nam żywą,
By słowa się spełniły
Nad ziemią tą szczęśliwą.

Jest tyle sił w narodzie,
Jest tyle mnogo ludzi;
Niechże w nie duch Twój wstąpi,
I śpiące niech pobudzi.

Niech się królestwo stanie
Nie krzyża, lecz zbawienia.
O daj nam, Jezu Panie,
Twą Polskę objawienia.

O Boże, wielki Boże,
Ty nie znasz nas Polaków;
Ty nie wiesz, czem być może
Straż Polska u Twych znaków!

Nie ścierpię już niewoli
Ani niewolnej nędzy,
Sam sięgnę lepszej doli,
I łeb przygniotę jędzy.

Zwyciężę na tej ziemi,
Z tej ziemi Państwo wskrzeszę.
Synami my Twojemi
Błogosław czyn i rzeszę.

Stanisław Wyspiański.

GWIAZDA WIGILIJNA.

Nad Betlejem -- na błękicie,
Nowa gwiazda lśni, —
Rodzi się tam Boskie dziecię
Świt słonecznych dni!...

Złotolite jej promienie.
Świetlany blask,
Rozprószyły nocne cienie
Znamiennych dni brzask!...

Dziś Zbawiciel zszedł na ziemię
Zwolnić ludzkość z pęt,
Niewolnicze zdjąć z niej brzemię:
Podnieść z brudów męt!..

Chór Aniołów nuci pienie —
Gwiazda blaskiem lśni, —
Głoszą Zbawcy narodzenie
Nowej ery dni!...

Roztocz gwiazdo swe promienie —
Nad Polską wrzesz, wzdłuż, —
Niech z Niej znikną mroków cienie
Brzask wolności wróż!...

Bądź zwiastunką lepszej doli
W Wigilijną noc,
Niech się skończy kres niewoli:
I z nią wrogów moc!...

Szymon Chełpiński.

Kołomyja w grudniu 1908.

DWIE PASTERKI

(Legenda o św. Krzysztofie).

— Czy ci nie zimno, synku?... Oto moja gruba wełniana chustka, owinę cię w nią całego... No — teraz już dobrze — ukryj zsiniałe rączki i idźmy raźno.

Mały chłopczyna przyspiesza kroku, brnąc po kolana w głębokim śniegu. Nie jadł dziś dzień cały, boć Noc zapada Święta, a i ostatnie ziemniaki wyszły im wczoraj na wieczerzę. Matka jego, uboga, dzienna wyrobnica, ma szczupły dług do odebrania sobie dziś, przed wieczorem, w mieście — a potem będzie uczta — tak matka obiecała. Kupi mleka i mąki, gdyż małe Dzieciątko Jezus, zstępuje dziś na ziemię i chce, aby wszystkim dzieciom było w tym dniu dobrze i wesoło. Jakżesz dawno nie pił ciepłego mleka! — Zeszłego tygodnia ziemniaki tylko i ziemniaki. O jakżeby też prędko chciał być z powrotem w domu i ujrzeć, jak matka ogień rozpala, przystawia garnek z mlekiem, a na nową miskę wysypuje bieluchną mąkę. Przez cały tydzień było zimno w izdebce i ciemno. Chłopczyna zjadłszy pozostawione mu z dnia wczorajszego ziemniaki, usiadał zwykle przy zamarzłej szybie małego okienka i aż do wieczora wyglądał przybycia matki.

Teraz, w zadużych na drobne jego stopy trzewikach, drepce za matką głodny i zmarznięty, myśl o mleku i świeżem pieczonem cieście, nie daje mu spokoju, bezustannie łechce jego podniebienie, pobudza łaknienie tak, że mu to aż ból sprawia — wtedy łzy nabiegają do oczu, a usta krzywią się do płaczu.

Lecz oto już wchodzą do miasta*).

Cóż za widok uderza oczy jego?! Wszystkie domy, nawet wieża ratuszowa płonie od świateł kolorowych. Wygląda to, jak gdyby w kielichy kwitnących stubarwnych tulipanów, powkładał kto gwiazdy zapalone. Migoce to, drży mieni się w oczach, różowo, błękitno i liliowo, jak kwietne kobierce za nastaniem wiosny. W oknach, przezrocza prześwietlone zewnątrz przedstawiają sceny w Betlejem i stajenkę, trzech mędrców na kolanach przed nowonarodzonem dziecięciem, ucieczkę do Egiptu itp.

Wejdziemy do kościoła pomodlić się przy

*) Za dawnych czasów w niektórych krajach, Noc Wigilijna, była bardzo uroczyście obchodzona. Iluminowano domy i kościoły, a i u nas w Polsce św. Kinga małżonka Bolesława Wstydliwego wspaniały „Boży Żłóbek" urządzała na zamku Wawelskim ku wielkiej uciesze dworzan i całego Krakowa.

Bożym Żłóbku — mówi matka i pociąga chłopca za sobą. W progu biją już na nich łuny świetliste, od wielkiej jakby zawieszonej w powietrzu gwiazdy promieniejącej, a pod nią dach ubogiej stajenki betlejemskiej z Dzieciątkiem i Matką Jego. Czoło Maryi osłania rąbek śnieżny, twarz jej anielską jaśnieje urodą, wpatrzona w Dziecię, które spoczywa na jej łonie. Dziecię uśmiecha się słodko i wyciąga rączki. Lud korzy się na kolanach przed Matką i Dziecięciem... Mały chłopczyk ukląkł przy matce i wpatrzył się w cudowne zjawisko. Wyciąga z pod chustki zmarznięte rączki, składa jak do pacierza i chce się modlić.

Wtem na chórze ozwał się śpiew. Dzieci przebrane za chóry aniołów cudnemi głosami śpiewają pieśni radosne, któremi witają przyjście na świat Zbawiciela. Potem zabrzmiała pieśń pasterska. Kościół wypełniły dźwięki organów i głosów ludzkich. Mały chłopiec zapomina słów codziennej modlitwy, serce jego bije mocno, twarz pała, nie wie gdzie jest i co się z nim dzieje, oczarowany patrzy tylko z zachwytem w twarz Dzieciątka Jezus i Matki Jego. Zdaje mu się przez mgnienie oka, że jasny rąbek z czoła Maryi unosi się i spływa lekko jak mgła, a jej Dziecię wyciąga ku niemu rączki.

Głód, który mu tak przykro przed chwilą dokuczał, przepadł zdawało mu się, że jadł najsłodsze owoce i pił wino z kryształowego dzbana, był napojony i syty.

— Wstań synku, pójdziemy do domu, szepnęła matka, powstając z klęczek, lecz mały nie słyszał tego, kilkakrotnie musiała go upomnieć, wreszcie prawie siłą podniosła z klęczek. Szedł za nią jak odurzony, nie czując głodu ni zimna. Kiedy byli już na dobrze znajomej sobie drodze, matka ozwała się:

Idź naprzód synku do domu, ja muszę jeszcze na chwilę wstąpić do sąsiadki. Chłopiec pozostał sam i szedł dalej w zamyśleniu ku domowi. Wtem ujrzał przy sobie dziecię cudnej urody. Złote włosy wiły mu się u alabastrowego czoła, różane usta krasił uśmiech, wdzięczny jak wiosna, a modre oczy przypominały bukiety niezabudek.

— Zkąd się tu wziąłeś?... zapytał chłopiec zdumiony.

— Weź mnie — weź, prosiło się dziecię, wyciągając ku niemu rączki, a głosik jego brzmiał mile i słodko jak srebrny poranny dwonek.

— Chodź! zawołał chłopczyk radośnie i porwał dziecię w objęcia, sadzając je sobie na barkach. Dziecię objęło szyję jego rączkami i przytuliło się doń z pieszczotą...

— Wprawdzie ubogo u nas, sami zaledwie z matką wyżyć możemy, myślał chłopiec, ale uśmiech tego dziecka, jest tak promienny, że rozjaśni nam chatkę, a głosik jego srebrny, napełniać ją będzie radością.

I począł iść wolniej, oglądając się od czasu do czasu na śliczne dziecię, którego złote kędziory dotykały czoła jego miękko i słodko.

Wkrótce uczuł, że dziecię na barkach bardzo mu cięży, przystanął chwilę, westchnął i rzekł:

— Ach! dziecię, jakieś ty ciężkie — niewiem, czy cię doniosę do domu?

Ale dziecię uśmiechnęło się tylko swoim uroczym uśmiechem wiosny i zawołało pieszczotliwie...

— Nieś mnie — nieś. — I ja cię kiedyś poniosę...

Chłopczyk rozśmiał się tylko na myśl, jak to malutkie dziecko nieśćby go kiedyś mogło...

Lecz choć już nieduży miał szmat drogi przed sobą, upadał ze znużenia, co chwilę przystawał i pot rosisty ocierał z czoła, ale kiedy tylko chciał na moment dziecię zdjąć z bark, by odpocząć ono słodko szeptało mu w ucho...

— Nieś mnie — nieś, jeszcze trochę. Już niedaleko...

I chłopiec dźwigał dalej dziwne to dziecię — przygniatające go ku ziemi niezmiernym swym ciężarem, od czasu, do czasu oglądając się tylko na nie, bo widok dziecka krzepił go w pośród drogi.

Wreszcie wytężając ostatnie siły, doszedł

do domu, ale kiedy postawiwszy dziecię na ziemi otwierał drzwi chaty, by je wprowadzić, dziecię zniknęło — tylko srebrzysty głosik jego usłyszał z daleka:

— Przyjdę kiedyś — i poniosę cię.

* * *

Wszystkie dzwony kościelne, biły radośnie w pięknem starożytnem mieście. Okna, domy i wieże płonęły różnobarwnem światłem kościół był natłoczony ludem. Młody świeżo wyświęcony kapłan, miał odprawić o północy Pasterkę. Była pierwsza, jego msza w życiu. Lud zgromadzony z najdalszych okolic, niecierpliwie oczekiwał uderzenia dzwonu, zwiastującego radośną pasterzom nowinę. Chciał przypatrzeć się tej pierwszej ofierze, młodego księdza, syna ubogiej wyrobnicy. Ale otóż i chwila radosna! — Dzwon srebrnym głosem woła: Wstańcie pasterze!... Bóg się wam rodzi!... Wchodzi młody prymicyant, wstępuje na stopnie ołtarza — lecz jakże dziwnie wzruszony...

Lud korzy się na kolanach przed Maryą i Jej Dziecięciem, wyciągającem miłośnie ku tłumom rączki, patrzą wszyscy na młodego kapłana, który z niewymownem wzruszeniem podnosi w tej chwili, w górę wiatyk — przyklęka — pożywa Ciało i Krew Chrystusową — a wsparłszy czoło o ołtarz w cichej pogrąża się modlitwie... Za jego przykładem, jak łan kłosów, kiedy wiatr powieje pochylają się głowy wszystkich, a niewypowiedziana błogość wypełnia przez chwilę piersi ludzkie. Wtem na chórze ozwała się pieśń anielska... Radosne pienia niebian biją o sklepienia kościelne. Młody kapłan wsłuchuje się w pieśń... Ale oto nie z chóru, ale wprost z nieba spływają głosy anielskie. Zakołysał się strop świątyni, znikają łuki arkad, marmurowe kolumny, rozstępują się, niby wiotkie lilij łodygi wyrastają pod same niebo, które się przeotwarło. Słychać szmery gajów, różanych, podzwania rosa niebieska Ave... Ave... i myje je!... Zdrowaś Marya, łaskiś pełna... modli się kapłan... Gloria... Gloria... powtarza pieśń anielska... Wieją skrzydła lekkie jak puch zapach róż i lilij napełnia powietrze— białe i liliowe kwiaty spadają na stopnie ołtarza na klęczącego kapłana...

Ale któż to zbliża się ku niemu? — Oczy jak kwiaty... uśmiech wiośniany... miłośnie wyciągnięte rączki...

Dziecię spotkane kiedyś w noc zimową, gdy wracał z pasterki.

— Pójdź — teraz ja cię poniosę... mówi głosik srebrzysty...

— — — — — — — — — —

— Młody ksiądz, chce się zbudzić z zachwycenia — chce powstać — ale nie może. Dziwna błogość przenika aż bólem serce jego, głowa powtórnie pochyla się na ołtarz.

— — — — — — — — — —

Tymczasem lud w kościele szeptać poczyna dziwić się i niepokoić, dlaczego kapłan nie kończy rozpoczętej ofiary. Jak przykląkł po podniesieniu, tak trwa na modlitwie. Wreszcie kościelny, odważa zbliżyć się ku niemu, aby przerwać uniesienie pobożne; poszepnął raz i drugi, że lud czeka na ukończenie mszy, dotyka nieśmiało skraju białej komży, ale młody ksiądz z ukrytą na ołtarzu twarzą nie drgnął, tylko blade, pochylone czoło, świeciło z daleka białością opłatka, który przed chwilą w rękach trzymał.

Duszę jego, poniosło z sobą Dzieciątko Jezus. *A. B.*

WSTAŃCIE PASTERZE!

Anioł.

Wstańcie pasterze!... Widzicie?!
Gwiazda goreje jak zorze,
Królewskie rodzi się dziecię,
Hołd spieszcie oddać w pokorze.

Pasterz.

„Aniele!... z niebios podwoi“
„Jakże z tą chłopską iść nędzą?“
„U bram, złocista straż stoi“,
„Biednych owczarzy odpędza“.

Anioł.

Maluczcy! Nie miejcie trwogi,
Król się królewskiej zbył pychy,
Jak wy, drzy z zimna ubogi,
W stajence położon lichej.

Pod główką pęczek ma siana,
Mateńka we łzach go tuli,
W płótniane rąbki odziana,
Luli, mu śpiewa oj, luli.

Pasterz.

„Aniele!... Jasna Osobo!“
„A to on taki chudzina?“
„Tożby kołaczy wziąć z sobą“
„Dla onej matki i syna“.

Anioł.

Nie trza kołaczów nieść w darze,
On ku wam z chlebem pospieszy,
Głodne nakarmi nędzarze,
Ludzkie łaknące rzesze.

Pasterz.

„Cóże mu damy?... dać chcące?“
„My raby takie ubogie“
„Nie mamy mirry pachnącej“
„By zawoniła mu progi“.

Anioł.

Pasterze! zielonych hali,
Serca Mu dajcie prostotę,
Co ponad mirry dym złoty,
Wonniejszem kwieciem się pali.

To Bóg! w stajence się rodzi,
Rajskie rzuciwszy przepychy,
Miłować lud swój przychodzi
Padolnych lilij kielichy.

A. Baudrowska.

Jeśli starasz się dobrze swe dziatki wychować, one tak samo swoje wychowają i tak pójdzie dalej tworząc łańcuch dobrych ludzi. Ciesz się, że będziesz pierwszem jego ogniwem.

Usta matki, to jakby księga wymowna ku nauce dzieci.

POLSKA I JEJ GRANICE.

(Ciąg dalszy).

Jak po szczęśliwych dniach panowania Kazimierza Wielkiego, nastały mniej pomyślne dla Polski czasy pod władzą króla Ludwika tak samo po wzmożeniu i rozszerzeniu się potęgi polskiej za Kazimierza Jagiellończyka, przyszły z kolei dnie przeciwności i klęsk rozmaitych.

Zaraz po jego śmierci, stronnictwo wielmożów litewskich, nie mogące zapomnieć utraconych wskutek złączenia się Litwy z Polską przywilejów i dążące z tego powodu do osłabienia unii, postarało się o obwołanie wielkim księciem litewskim Aleksandra, czwartego ze starszeństwa syna Kazimierzowego. Sprzeciwiało się to ugodzie zawartej z Polską, według której król polski miał być zarazem wielkim księciem litewskim. Obwołanie to było tem szkodliwszem, iż równocześnie obrano w Krakowie królem, trzeciego syna zmarłego króla, Jana Olbrachta. Wprawdzie Aleksander, jako wielki książę litewski podlegał królowi, rozdzielenie jednak godności królewskiej i wielko-książęcej na dwie osoby, mogło w przyszłości zniweczyć unię polsko-litewską, zwłaszcza, gdyby tak król, jak i wielki książe pozostawili męskich potomków.

Jan Olbracht uważany był za znakomitego rycerza, gdyż w r. 1488, odniósł pod Kopestrzyniem świetne zwycięstwo nad Tatarami; wkrótce jednak pokazać się miało, iż nie był ani wielkim wodzem, ani biegłym politykiem, t. j. kierownikiem spraw publicznych. Był za to chciwym władzy i ulegał wpływom swojego sekretarza, cudzoziemca, Włocha Filipa Buonacorsi. Włoch ten, czyli Italianin, był uczonym, ale przebiegłym i nadzwyczaj chełpliwym człowiekiem. Przez chełpliwość przezwał się Kallimachem, z tej racyi, iż w starożytności, około 250. roku przed Chrystusem, żył w Egipcie słynny z ogromnej

wiedzy i nadzwyczajnych zdolności, uczony Grek nazwiskiem Kallimachos. Na polskie stosunki zapatrywał się Buonacorsi ze stanowiska cudzoziemskiego, a uważając rządy samowładcze za najlepsze, pobudzał Jana Olbrachta do ukrócenia wolności i rozszerzenia władzy królewskiej. W innych bowiem krajach Europy, a zwłaszcza we Francyi, panowała wówczas dążność do ukrócenia władzy możnych panów, tak zwanych wassali, a wprowadzenie w jej miejsce nieograniczonych niczem rządów króla, czyli despotyzmu. We Francyi, gdzie wówczas nie było wolności i panował system feudalny, podział na stany wyższe i niższe, uciskane srogo przez wyższe, dążenie do nieograniczonej władzy królewskiej było łatwem i osiągnęło później zwycięstwo; w Polsce jednak, w której panowała wolność, a stany stały obok siebie, a nie nad sobą i jedne drugich nie uciskały, dążenie takie nie mogło mieć powodzenia i prowadziło jedynie do wywołania niechęci przeciw królowi. Wywołało ją tem łatwiej, gdy król nie miał szczęścia w prowadzeniu spraw publicznych. Tak w roku 1497. powziął myśl wielkiej wyprawy przeciw Turkom, przy pomocy hospodara wołoskiego Stefana. W tym celu zebrawszy wielkie wojsko, złożone z najdzielniejszego rycerstwa, wkroczył do Wołoszczyzny. Tu jednak zamiast gościnnego przyjęcia i pomocy, doznał zbrojnego oporu; Stefan bowiem obawiając się, by Polacy zamiast iść na Turka, nie rozgościli się na stałe w Wołoszczyźnie i nie przyłączyli jej do Polski; porozumiał się z Turkami i rozpoczął podjazdową wojnę przeciw Polakom. Król obległ Suczawę i zaczął jej dobywać, lecz wobec braku żywności, którą odcięły podjazdy wołoskie, otaczające zewsząd naszych i trapiące ich nadto ciągłemi napadami, musiał odstąpić od oblężenia i ruszył z powrotem do Polski, przez bukowińskie lasy. Tu przebiegły Stefan porobił zasadzki, popopodcinał drzewa i kazał je walić na ciągnące w odwrocie polskie rycerstwo. Dla jazdy naszej, potrzebującej miejsca wolnego do rozpędu w boju, walka wśród walących się drzew odwiecznych, z wypadającymi z zasadzek niespodzianie Wołochami, była nader trudną. Na nic nie zdało się męstwo, na nic sprawność bojowa, na nic ciężkie stalowe zbroje. Większa część rycerzy naszych zginęła marnie, zaledwo garstkę niedobitków wyprowadził król z tej matni. Żałobą okrył się naród i zbudziło się, niesłuszne zresztą podejrzenie, że Jan Olbracht z umysłu poprowadził rycerzy naszych na zgubę, ażeby po ich wygubieniu, łatwiej mu było pójść za radami Kallimacha. Wskutek bolesnej tej klęski, powstało nawet przysłowie, które przechowało się do dni naszych:

„Za króla Olbrachta
Wyginęła szlachta“.

Korzystając z tej klęski Polaków, wpadli Wołosi w połączeniu z Turkami i Tatarami dwukrotnie do Polski, w r. 1498. i 1499., niszcząc jej południowo-wschodnie prowincye ogniem i mieczem. Na szczęście w r. 1499. była bardzo wczesna i mroźna zima, która najezdników zaskoczyła w Polsce i zmusiła do odwrotu, wymroziwszy ich na śmierć przeszło czterdzieści tysięcy!

Wskutek tej opatrznościowej klęski napastników, hospodar Stefan upokorzył się i zawarł z Polską pokój. Równocześnie odnowiono dawne przymierze z Węgrami, a na zjazdach w Krakowie i Mielniku potwierdzono połączenie Polski z Litwą. Wreszcie w r. 1501. zawarto przymierze z Turkami na przeciąg lat pięciu. Tak na razie umocniła się Polska wewnątrz i zabezpieczyła swe południowe granice. Natomiast u północno-wschodnich jej kresów, pojawił się nowy wróg, wielkie księstwo moskiewskie. Władca tego kraju, Iwan I. Wasylewicz, zrzuciwszy w r. 1480. jarzmo Tatarów, którym Moskale dotychczas podlegali i umocniwszy się wewnątrz swego kraju, zaczął niepokoić granice Polski w Litwie na Białorusi, nie zważając wcale na to, iż wielki książę litewski Aleksander miał córkę jego Helenę za żonę. Niszczył pogranicze ogniem i mieczem, a nawet po trzykroć kusił się

o zdobycie warownego miasta Smoleńska, lecz mężna załoga polska pod wodzą Jerzego Paca i Mikołaja Sołłohuba, dzięki ich przezorności i umiejętnym zarządzeniom, każdym razem odparła Moskali zwycięsko. Wskutek tego uspokoił się Iwan i zawarł z Polską sześcio-letni pokój.

Tymczasem Krzyżacy po śmierci wielkiego mistrza Tiefena, który biorąc udział jako lennik Polski w wyprawie na Wołoszczyznę i wracając z niej, umarł w r. 1497. we Lwowie, obrali w jego miejsce wielkim mistrzem Fryderyka, brata elektora saskiego. Ten starał się wszelkimi sposobami wykręcić od złożenia hołdu królowi polskiemu. Opisane wyżej klęski i kłopoty pomagały mu w tem skutecznie; wreszcie jednak, znalazł Jan Olbracht wolną chwilę na przymuszenie go orężem do posłuszeństwa i w tym celu w roku 1501., po sejmie odbytym w Piotrkowie, wyruszył do Torunia. Tu Fryderyk chciał wchodzić z królem w targi i układy, lecz król odprawił jego posłów z wezwaniem natychmiastowego złożenia hołdu. Nie przyszło przecież do dopełnienia tej powinności Fryderyka przed Janem Olbrachtem, gdyż król zachorował obłożnie i umarł w Toruniu dnia 17. lipca 1501. roku.

Pomimo klęsk, jakie nawiedziły Polskę za panowania Jana Olbrachta, przecież granice jej nieco się rozszerzyły, powróciło do niej bowiem księstwo Zatorskie, odpadłe ongi razem ze Śląskiem. Odkupił je Jan Olbracht od Janusza, księcia Zatorskiego, za 80 tysięcy dukatów i sute dożywocie. Wewnętrznie także się Polska silniej spoiła, gdyż prócz wspomnianego wyżej zatwierdzenia związku Korony z Litwą, przeszła część księstwa mazowieckiego, a w szczególności ziemia płocka, po bezdzietnym zgonie ostatniego księcia Płockiego, w bezpośrednie władanie Polski.

Po śmierci Jana Olbrachta, obrano królem młodszego jego brata, a czwartego syna Kazimierza Jagiellończyka, Aleksandra, który jak wiemy, był wielkim księciem litewskim. Tak znów godność królewska i wielko-książęca złączyły się w jednej osobie, zgodnie z zasadami związku Litwy z Koroną i odtąd już nigdy nie było osobnego wielkiego księcia litewskiego.

Aleksander przywiązany do Litwy i najchętniej w niej przebywający, oddał rządy nad Koroną najmłodszemu ze swoich braci, Fryderykowi, który był kardynałem, a jako arcybiskup gnieźnieński pierwszym pomiędzy polskimi dostojnikami kościelnymi, czyli Prymasem Polski, z urzędu swojego zastępującym króla w czasie bezkrólewia. Rządy te nie długo Fryderyk sprawował, gdyż umarł wkrótce, w r. 1503.

Panowanie Aleksandra rozpoczęło się napadem Tatarów na Ukrainę, Podole i Ruś Czerwoną, oraz niespodzianym zaborem Pokucia, t. j. skrawka ziemi polskiej, położonego nad rzeką Czeremoszem, na granicy Bukowiny, przez zdradzieckiego hospodara wołoskiego Stefana. Nietrwały to jednak na szczęście był zabór, gdyż już w r. 1504. odebrano Pokucie Stefanowi, które odtąd już nigdy nie było odłączonem od Polski.

Krótkie, bo zaledwo pięcio-letnie panowanie Aleksandra, od r. 1501, do 1506., wypełniły zresztą prace około uporządkowania praw polskich. Uporządkowaniem tem Aleksander gorliwie się zajmował i zasłużył się bardzo w tym względzie tak, iż historyk polski z czasów Stanisława Augusta, Teodor Waga, nazwał Aleksandra, królem prawodawcą.

W roku 1506. znów Tatarzy napadli na Polskę. Król złożony właśnie ciężką niemocą, leżał obłożnie chory w Wilnie. Na wieść o napadzie Tatarów, wysłał przeciw nim wojsko pod wodzą zaufanego swego, kniazia Michała Glińskiego. Ten dopadłszy ich pod Kleckiem, odniósł świetne zwycięstwo. Oswobodził wielką liczbę jeńców i odebrał niemałe łupy, rozgromiwszy w puch Tatarów.

Wieść o zwycięstwie tem, doszła do Wilna dnia 19. sierpnia 1506. r., gdy król Aleksander był już konającym. Nie mógł już mó-

wić — gestami tylko wyrażał swą radość i dziękował Bogu za radosną wiadomość, która zakończyła jego życie i panowanie.

Aleksander był nadzwyczaj szczodrobliwym i nie wiele zważając na obowiązujące przepisy, rozdawał chętnie w wieczyste posiadanie ziemskie majętności koronne i litewskie tak, że gdy umarł, żartowano sobie, iż w sam czas to uczynił, bo gdyby dłużej popanował, toby rozdarował całą Koronę i Litwę. Szczodry król umarł w chwili zwycięstwa, które zamknęło mniej pomyślne dnie panowania królów: Jana Olbrachta i Aleksandra, a rozpoczęło okres największego rozkwitu, jaki osiągnęła ojczyzna nasza pod rozważnemi rządami Zygmunta, zwanego Starym i syna jego Zygmunta Augusta.

Inż. Eustachy Śmiałowski

DZWON PASTERSKI.

Znów głos z wieży,
Wzdłuż wszerz bieży
Przez polską krainę;
Głośno woła,
Miasta, sioła,
By witać Dziecinę!

W nocnej dobie,
Leży w żłobie,
Stwórca, Pan nad Pany —
Cud nad cudy,
Zbawia ludy,
Równa wszystkie stany!...

Z górnych szlaków —
Wśród orszaków
Niebiańskiej drużyny —
Zszedł na ziemię
W Betlejemie,
Zgładzić ludzkie winy!

Bóg od wieka,
Dla człowieka,
Chce cierpieć niemało —
Bo z Dziewicy,
Swej Rodzicy,
Przyjął ludzkie ciało!

Wstańcie ludy!
Ze snu złudy —
Syn Boży się rodzi!
Naszą dolę,
I niewolę,
On jeden osłodzi!

Więc w świątyniach
Radość w pieniach —
W sercach, w duszy wzrasta;
Bo Syn Boży,
Kres położy,
Krzywdom w ziemiach Piasta!...

Skruszy pęta,
Ręka święta,
Co nas przez wiek gniotą.
Za cierpienie,
Da zbawienie,
Wróci wolność złotą!...

Szymon Chełpiński.

List czwarty »O godności pracy«.

„Praca powstała z grzechu pierworodnego“
„Praca jest odkupieniem za grzech“
„Miłujący pracę pełni najdoskonalszą pokutę“
„Nie pełniący pokuty, sumienia czystego mieć nie mogą“.
„Niema mienia bez sumienia“.

Tak mniej więcej krótko i jasno wypowiada się Cypryan Norwid o pracy. Są to słowa proste, a tak głębokie, że żadna mądrość ich nie przeprze. Wszystko co życie nam przynosi, wszystkie obowiązki względem Boga, Ojczyzny, Rodziny i samych siebie, które spadają na nas z chwilą urodzenia i dojrzewania, możemy w świetle tych myśli dostrzedz

i zrozumieć lepiej, aniżeli przy codziennem słuchaniu lub czytaniu nieskończonych morałów. Tylko nie rzucajmy okiem obojętnem na te słowa, ale w każde z nich wnikajmy uważnie.

Nie ulega wątpliwości, że wszyscy jesteśmy skazani na pracę. Jeżeli istnieją ludzie niezmiernie bogaci, lub niezmiernie ubodzy, z których jedni czas, pieniądze i zdrowie trwonią, a drudzy trwonią z nędzy lub innych przyczyn czas i zdrowie, a pieniądze zdobywają żebraniną, to nas to w pojmowaniu naszego stosunku do pracy mieszać nie powinno. Zasadniczą prawdą pozostanie zawsze to, że niema człowieka, któryby nie miał obowiązków do spełnienia. A zatem ten, kto ich nie uznaje, nie tylko pokuty od Boga nam wyznaczonej nie pełni, ale jeszcze grzeszy wielokrotnie.

Rodząc się, przynosimy z sobą dary życia z których niektóre zmiennym ulegają kolejom. Rodzimy się w pewnych warunkach, z których ubóstwo lub zamożność, wykształcenie lub nieuctwo są względne — możemy bowiem dorobić się majątku i zdobyć wiedzę, możemy z najniższego stanowiska wznieść się na stanowisko najwyższe, czego żywym dowodem jest dla nas obecny Ojciec święty. To, co nie ulega zmianie całkowitej, a tylko częściowej, to właściwości naszej duszy, to wesołe lub smutne, bystre lub ospałe spojrzenie na świat – ta wrodzona żywość, lub ślamazarność, które towarzyszą nam przez całe życie. Możemy z temi właściwościami walczyć i silną wolą nieskorą myśl uczynić szybszą tak, jak możemy do pewnego stopnia opanować naszą wrodzoną gwałtowność lub ospałość — ale do gruntu właściwości naszej duszy nigdy i niczem zmienić nie zdołamy. Z warunków nieodmiennych nawet wolą naszą i zmianą losu, wymienię miejsce, w którem kolebka nasza stała — i rodzinę, do której chcąc nie chcąc przynależę.

Gdym się urodziła Polką, to przyniosłam z sobą na świat obowiązki, dotyczące wyłącznie mojej Ojczyzny. Może mnie zajmować świat cały poza nią, ale historya żadnego kraju, ani jego losy, ani jego prawa nie śmią mi być bliższe. Przenosząc kraj inny ponad ziemię rodzinną, zamieszkując go i zasilając moją pracą, grzeszę przeciwko pierwszemu niezmazanemu obowiązkowi, jaki mi Bóg wyznaczył. Tak samo dziewczyna, urodzona w chacie wiejskiej, gdy zostaje robotnicą w mieście i przebrawszy się po miejsku, wstydzi się swego pochodzenia, tai się z niem i wynosi ponad rodziców — grzeszy przeciwko drugiemu obowiązkowi, którym jest poszanowanie tych, co nam dali życie i poszanowanie stanu, z którego pochodzimy. Kto rozumie, że wszystkie stany są sobie równe, o ile wszystkie jednakowo miłują i wykonywują swoje obowiązki, ten zawsze i wszędzie umie cenić samego siebie. Powinniśmy pamiętać, że w Polsce dziś stany są rzeczą podrzędną, że wszyscy dziś mamy jedną dolę do opłakiwania i naprawienia — wszyscy jesteśmy niewolnikami. Nie stany, nie różnice świadczą, że jesteśmy Narodem. W Naród złączyć się możemy pod wszystkimi zaborami, tu na miejscu i na wychodźctwie — w Europie czy Ameryce — jedną myślą świadomą, że jesteśmy Polakami i że polskość nasza nakłada na nas obowiązki. A temi są:

1. samokształcenie, głównie na pisarzach i poetach narodowych,
2. pouczanie innych,
3. obznajmianie się z przeszłością narodową,
4. zapoznanie się z naszym teraźniejszym położeniem pod wszystkimi zaborami,
5. rozmyślanie o przyszłości Narodu,
6. wychowanie dzieci w miłości dla ojczyzny i świadomości obowiązków narodowych.

Z obowiązkami narodowemi łączą się ściśle obowiązki naszego stanu. Każdy, kto je wypełnia, jak umie najlepiej i jak mu siły starczą, każdy, kto stara się pracę swoją zawodową udoskonalić, czy to w mieście czy na wsi, czy to będzie się odnosiło do hodowli, czy do roli, do szewstwa, czy do złotnictwa, za-

sługuje na miano dobrego obywatela. Dzięki jego pracy, podnosi się majątek jego własny. a temsamem stan dobrobytu danej miejscowości, a więc i ogólny stan dobrobytu w kraju.

Dobrobyt ułatwia wypełnianie obowiązków rodzinnych. Rodzice, którzy nie są zmuszeni opuszczać swoich dzieci dla zarobku na dni całe, którzy mogą łożyć na ich naukę, którzy znajdują czas, by pouczyć dziecko nietylko przykładem, ale i słowem, którzy mogą żywić i odziewać dziecko dla jego zdrowia dostatecznie, pracują w obrębie swego ogniska domowego jak należy. Z wzorowem wypełnianiem obowiązków rodzicielskich, wiąże się wychowanie narodowe. (§ 6 o obow. narod.). Wypada nam pomówić jeszcze o człowieku, jako o człowieku, jako o kimś, który istnieje nietylko w stosunku do Narodu i otoczenia, ale także sam dla siebie.

Młody człowiek, kobieta, czy mężczyzna, z chwilą, gdy dojrzeje, powinien sobie uświadomić swoje obowiązki względem duszy i ciała. Ich zdrowie, oto co przedewszystkiem powinien mieć na myśli. A na czem się ono zasadza? Na czystości i odporności. Dusza czysta, tak jak ciało czyste wyrzeka się złych nałogów, zwłaszcza rozpusty i pijaństwa. Oboje, tak dusza, jak ciało w tej czystości znajdują odporność. Dusza przeciw innym nałogom, jak karciarstwo, złodziejstwo, oszustwo, złość posunięta nieraz do zabójstwa bliźniego — ciało przeciw chorobom zakaźnym i innym. Czysta dusza jest zdrową, a zdrowie jej objawia się także prawością. Człowiek prawy posiada odwagę, by postępować tak, jak uważa za dobre i mówić to co myśli. Nigdy on nic na szkodę drugiego chyłkiem, milczkiem nie uczyni i nigdy nie zaprze się swoich uczynków lub myśli, dlatego, że inni sie z nich śmieją, albo że ich nie rozumieją. Czyste ciało, to jest nie psute rozpustą i alkoholem posiada zdrowie, a zdrowie jego objawia się siłą fizyczną. Ciało i dusza wspomagają się swym zdrowiem wzajemnie i czynią młodzież swobodną i wytrwałą. A młodzież która posiada takie przymioty jest najlepszym zadatkiem pomyślnej przyszłości narodu.

Widzimy, że wszystkie obowiązki wasze tworzą jeden nierozerwalny łańcuch, którego pojedyncze ogniwa stanowią odrębną dla siebie całość. Podobnie wyraz sumienie zawiera w sobie wyrazy umieć i mieć, z któremi razem tworzy całość. W tym słowie sumienie zamknął Norwid wszystko, co chciał wypowiedzieć o godności pracy ludzkiej, albowiem kto umiejętnie i z miłością pracuje ma czyste sumienie w obec Boga Narodu i ludzi, i będzie miał również to, co ono daje, mienie, na które zapracował, szczęście w do mu dobrobyt i wolną ojczyznę.

Wila Tabaczyńska.

OJCZYZNA.

Ojczyzna moja — to ta ziemia droga,
Gdziem ujrzał słońce, i gdziem poznał Boga,
Gdzie ojciec, bracia i gdzie matka miła,
W polskiej mnie mowie pacierza uczyła.

Ojczyzna moja — to wioski i miasta,
Wśród pól lechickich sadzone od Piasta;
To rzeki, lasy, i niwy, i łąki,
Gdzie pieśń nadziei śpiewają skowronki.

Ojczyzna moja — to praojców sława,
Szczerbiec Chrobrego, Cecorska buława,
To duch rycerski, szlachetny, a męski,
To nasze wielkie zwycięstwa i klęski.

Ojczyzna moja — to te ciche pola,
Które od wieku zdeptała niewola,
To te kurhany, te smętne mogiły —
Co jej swobody obrońców przykryły.

Ojczyzna moja — to ten duch narodu,
Co żyje cudem wśród głodu i chłodu,
To ta nadzieja, co się w sercach kwieci,
Pracą u ojców, a piosnką u dzieci!

Marya Konopnicka.

Przyczyny trzęsienia ziemi.

II.

Niegdyś w początkach stworzenia, cała nasza ziemia była ognisto-płynną kulą. W miarę ostygania, tworzyła się na jej powierzchni twarda skorupa, która dzisiaj dochodzi do 20 mil grubości. Wnętrze ziemi zajmują obecnie masy ognisto-płynne, lub jak niektórzy twierdzą, masy gazów o bardzo wysokiej ciepłocie. Mówiliśmy, że przez ciągłe ostyganie, ziemia podobnie jak jabłko kurczyła się tworząc fałdy czyli zmarszczki. Góry nasze są takiemi zmarszczkami starzejącej się ziemi. Geologowie tj. ludzie zajmujący się badaniem budowy ziemi twierdzą, że podczas takiego kurczenia się skorupy przez ostyganie, powstają nietylko góry, ale prócz tego, część skorupy ziemskiej zapada się podążając za kurczącem się jądrem. Te olbrzymie zapadnięte płaty zalane przeważnie wodami mórz lub jezior wywierają nadzwyczajne ciśnienie na wnętrze, czyli na ową ognistą część naszej ziemi. Przez takie ciśnienie owa ognista masa zostaje wypychana ku górze, szuka ona miejsca najmniejszego oporu tj. takiego, gdzie wskutek kurczenia się ziemi porobiły się szczeliny. Natrafiwszy na takie miejsce, wybuchowe masy wnętrza, parte gazami i parą wodną, przedzierają sobie siłą wolne przejście i wybuchają na powierzchnię ziemi. Naturalnie, że owo parcie wstrząsa skorupą ziemską czyli powoduje trzęsienie ziemi. Trzęsienia ziemi tego rodzaju nie obejmują tak wielkich obszarów, są one ograniczone do najbliższych okolic, w których znajdują się czynne wulkany. Wulkan ma zwykle kształt stożkowatej góry, u wierzchu której znajduje się ziejący ogniem otwór zwany kraterem. Czasem obok głównego krateru tworzą się na stoku wulkanu otwory boczne. Kratery wskutek silnych wstrząśnień ulegają zatkaniu przez usuwające się skały. Wtedy owa płynna masa zwana lawą toruje sobie powtórnie drogę, co powoduje nowe trzęsienie ziemi.

Zwiastunami wybuchu są słabe początkowo, później coraz silniejsze wstrząśnienia ziemi, podziemne dudnienia i grzmoty. Wulkan zaczyna pracować. Dookoła krateru tworzą się pęknięcia z których dobywają się gazy i para wodna. Następnie wydostają się kłęby czarnych dymów, które unoszą się i rozszerzają nad kraterem. Ślicznie a zarazem groźnie wygląda taki czynny wulkan w nocy. Światło gorejącej lawy znajdujące się jeszcze w czeluściach wulkanu oświetla wspaniale czerwoną łuną unoszące się dymy w powietrzu.

Para wodna wydobyta z wulkanu skrapla się w górnych warstwach powietrza, powstają ulewy, którym towarzyszą wyładowania elektryczne czyli pioruny. Taki deszcz zmieszany z wyrzucanym przez wulkan popiołem oblepia wszystko brudną powłoką.

Grubszy popiół, spadający w pobliżu, zasypuje pola, a nawet całe osady. W 79 roku po Chr. zostały zasypane przez popiół z wulkanu Wezuwiusza koło Neapolu we Włoszech, dwa piękne rzymskie miasta Herkulanum i Pompeja. Nieraz prąd powietrza unosi popiół i zanosi go na bardzo odległe okolice.

Wreszcie wulkan wyrzuca większe okruchy zwane bombami, które spadając na domostwa powodują pożary. Ognista masa czyli lawa podnosi się powoli w kraterze, doszedłszy aż do szczelin, wylewa się strumieniem po stokach góry, paląc wszystko co zaleje. Podobna jest wtedy do roztopionego żelaza lub szkła. Na powierzchni stygnie prędko, w głębi zachowuje długo wysoką ciepłotę. Lawa, zupełnie zastygła, wietrzeje dość prędko dając bardzo urodzajną glebę. W Europie istnieje kilka czynnych wulkanów, np. we Włoszech, w Grecyi i na Islandyi. Prócz tego mamy liczne wulkany wygasłe, które niegdyś wybuchały, np. we Francyi. W okolicach Krakowa w Miękini, Rudnie, Zalasiu, i Alwerni są łomy kamieni zwanych porfirem i melafirem. Obie te skały są lawą wulkanów istnie-

jących u nas w dawnych epokach. Obecnie kamienie te wywożą do miast i brukują nimi ulice, odznaczają się bowiem wielką twardością.

KOLĘDNICY.

Kolędnicy my, z daleka,
Spieszym z pieśnią znów...
Pod okienkiem białej chaty
Po zwyczaju jak przed laty
Do was idziem znów...
Kolędnicy my — nieznani
Z oddalonych stron,
Dziś, w radosny ton
Chcemy z wami gwarzyć, śpiewać
Hej kolenda! kolenda!

Kolędnicy my, z daleka,
Nie ze szopką spieszym tu...
Idziem z służbą cichej pracy,
Więc przyjmijcie nas rodacy
Światło rzucić pragniem tu...
Kolędnicy my — wytrwali,
Na ten cichy próg,
Przez osty i głóg,
Idziem z słowem dobrej rady,
Hej kolenda! kolenda!

Kolędnicy my, z daleka
Z życzeniami idziem już...
Niech Bóg szczęściem was obdarzy,
Niech się wszystko dobrze darzy,
Niechaj jasność wejdzie już.
Kolędnicy my wam blizcy
Dajcie bratnią dłoń...
W jasność z ciemnych toń...
Wytrwać trzeba wśród niedoli
Hej kolenda!
Kolenda! *Jadwiga S.*

Czy jeże są pożyteczne?

Jeż należy do stworzeń powszechnie znanych. Chociaż nie spotyka się go nigdzie zbyt obficie, znaleźć go jednak można w każdym lesie, w każdych gęściejszych zaroślach, w każdym większym ogrodzie.

Zabawne to stworzenie: krępe i niezgrabne, porosłe długimi kolcami, drepce śmiesznie, szukając żeru, z pyszczkiem tuż przy ziemi. Niewinne zresztą i bojaźliwe pomimo swych kolców: kryjówkę opuszcza dopiero o zmierzchu lub w nocy, stara się umknąć za lada podejrzanym szelestem, a jeśli tego nie może uczynić, zwija się w kłębek, nadstawiając na wszystkie strony kolce i broniąc się niemi od napastników, z którymi inaczej niema siły walczyć.

Ludziom niewątpliwie jeż nie może uczynić nic złego. Czy jest jednak stworzeniem pożytecznem dla nas i czy należy go ochraniać, czy też tępić, skoro osiedli się w naszym ogrodzie?

Dość spojrzeć na drobne ostre zęby jeża, aby nabrać przekonania, iż zwierzątko to jest drapieżnem i że karmi się przeważnie owadami. Istotnie, zjada on mnóstwo chrabąszczów, różnych żuków, świerszczów, koników polnych, gąsiennic i pędraków, a także ślimaków, które zrządzają nieraz znaczne szkody w zasiewach i ogrodach warzywnych. Oczyszcza więc je nam znakomicie z tych szkodników.

Poza tem łowi on bardzo chętnie myszy i różne węże. Na ogół węże nasze nie należą do niebezpiecznych, z tępienia więc ich nie można by było robić jeżowi zasługi, gdyby nie to, że walczy on zajadle ze żmijami i zabijąc je, oczyszcza nasze lasy z tych jadowitych gadów, których ukąszenie może łatwo przyprawić człowieka o ciężką chorobę, a nawet o śmierć.

Widzimy zatem, że zasługi jeża są naprawdę nie małe. Czy jednak, poza tępieniem

zwierząt szkodliwych, i sam on niema czasem jakich szkód na sumieniu? Warto się zastanowić nieco i nad tem pytaniem.

Przedewszystkiem, łapiąc różne szkodniki jeż zjada też nie jedno pożyteczne stworzenie: zagryzie on nieraz ropuchę, która przecież należy do wielkich obrońców ogrodu, pożre niejednego ptaszka, którego mu się uda schwycić na ziemi. Ale takie rzeczy wybaczyć mu trzeba: jeż należy do stworzeń bardzo żarłocznych i potrzebuje dużo pokarmu, jada więc wszelkie stworzenia, które złapie i nie będzie zwracał uwagi na to, czy jest ono dla nas pożyteczne, czy też nie. Jeża obchodzi tylko własny głód.

Ptaszki jednak rzadko uda mu się złapać, bo jest za niezgrabny na to, ropuchę również nie często, tak, że ostatecznie zaspakaja głód przeważnie stworzeniami szkodliwemi, owadami i myszami.

Niektórzy posądzają jeża, że włazi na drzewa, strąca stamtąd jabłka lub gruszki, a potem, tarzając się po nich, nabija je na kolce i zanosi do nory. Jest to zarzut zupełnie niesłuszny, bo przedewszystkiem jeż nie może wcale łazić po drzewach, następnie zaś zwierzęta karmiące się owocami, mają zęby nie takie ostre i śpiczaste, jak on. Zapewne, i jeż zje czasami jabłko lub gruszkę, kiedy znajdzie na ziemi, możemy jednak być pewni że, robi to tylko w ostateczności, z głodu; nie należy go więc zaliczać do szkodników z tego powodu.

Niektórzy robią mu jeszcze cięższy zarzut, że zakrada się on do kurników, dusi drób oraz króliki. Na dowód przytaczają, że nieraz znajdowano jeże, złapane w żelaza, które były zastawione przy kurnikach na kuny. I ten zarzut nie jest słuszny, zwykle bowiem taki jeż, znaleziony w żelazach, kręcił się koło kurników nie dla kur, które siedzą zamknięte wewnątrz, lecz dla myszy, uwijających się w pobliżu.

Słowem, o szkodach, zrządzanych przez jeża, niewarto nawet wspominać, są one bowiem bardzo drobnemi. Zato pożytek, jaki on przynosi, bywa ogromny. Żarłoczny jeż w czasie swych nocnych wędrówek, tępi mnóstwo szkodliwych owadów i ślimaków, oraz myszy. Zasługuje więc na ochronę i opiekę, tem bardziej, że sam ma dość wrogów. Polują nań lisy i kuny, a szczególnie niebezpiecznymi dla niego są puhacze. Przed lisem i kuną jeż może się ratować, zwijając się w kolczasty kłębek, ale dziób i szpony puhacza nie są wcale wrażliwe na ukłucie jego igieł, przenikają przez kolący pancerz i dostają się do żywego ciała.

Niebezpieczne także dla jeżów, zwłaszcza młodych, są mrozy i słoty. Młode jeżęta są nadzwyczaj delikatne i mnóstwo ich ginie w jesieni i zimie. Dlatego to jeżów nigdzie niema zbyt dużo.

Zwierzątka te czynne są jedynie od wiosny do jesieni: przed zimą włażą do nor wykopanych w ziemi, zatykają ich wejście suchymi liśćmi i spędzają całą zimę w śnie. Ale jeśli nora nie jest dobrze zaopatrzoną, a chwycą większe mrozy, giną one nieraz w czasie tego snu, zwłaszcza młode, jako najbardziej delikatne.

Ludzie dość dawno poznali się na użyteczności jeżów, chociaż nieraz robią im niemądre zarzuty o wyjadanie owoców lub zakradanie się do kurników, przeważnie jednak pozostawiają je w spokoju i nie tępią ich wcale. Niektórzy nawet, oceniają ich pożyteczność w tępieniu myszy, łapią jeże i trzymają je w mieszkaniach, a jeszcze częściej w spichrzach i stodołach.

Niema w tem nic złego. Należy tylko pamiętać, że jeż potrzebuje bardzo dużo jeść i że w zamkniętym budynku wyjątkowo uda mu się zdobyć dostateczną ilość pożywienia.

Kto chce go zatem trzymać w mieszkaniu lub śpichrzu, powinien dokarmiać go, dając mu codziennie nieco mięsa lub wątroby surowej, trochę sera, a w ostateczności chleba, rozmoczonego w mleku. Należy też pamiętać, żeby miał on zawsze miseczkę ze świeżą wodą albo mlekiem, jeż bowiem, jak wszyst-

kie zwierzęta żarłoczne, potrzebuje pić bardzo dużo.

Na zimę trzeba go przenieść w miejsce nieco chłodne i dać mu dość siana, aby mógł sobie urządzić wygodne legowisko na sen zimowy.

Stokroć lepiej jednakże, zamiast trzymać w budynkach, przynęcić jeże do ogrodów, bo i im będzie tam dogodniej i nam przyniosą one tam większą korzyść, niż wyłapywanie myszy w budynkach, gdzie to samo zrobi równie dobrze kot albo pułapka.

Chcąc przynęcić jeże do ogrodu, należy im dostarczyć dobrych kryjówek, najlepiej gęstych zarośli. Dobrze jest zasadzić je nawet umyślnie wzdłuż płotu lub rowu. Następnie pomieścić w nich pewną ilość skrzynek, otwartych od dołu i z jednego boku, a mających koło pół metra długości i po ćwierć metra szerokości i wysokości. W pobliżu umieścimy nieco mierzwy lub liści suchych i mchu a skrzynki obrzucimy jeszcze chrustem lub kolczastemi gałęziami, tak żeby nietylko człowiek, ale nawet pies nie mógł się dostać do nich.

Osiedlą się w nich napewno jeże, a oprócz tego zarośla posłużą na mieszkanie dla mnóstwa drobnych ptasząt, i bez wielkich trudów będziemy mieli w ogrodzie gromadkę pomocników, którzy będą go nam oczyszczać starannie z wszelkiego robactwa.

B. Dyakowski.

O KOMETACH.

Komety należą do najciekawszych zjawisk na niebie. Zwykle wyglądają one jak powoli po sklepieniu niebios sunąca gwiazda ze świetlnym ogonem. Komety przybywają do nas z bardzo odległych przestrzeni wszechświata. Jest to właściwie kłąb gazów, mający własny ruch. Gdy taka kometa w drodze swej zbliży się do naszego słońca, poczyna świecić, samodzielnie bowiem ona nie wydziela światła ani ciepła. Skutkiem tego że komety świecą tylko odbitem światłem słonecznem, są one w większych odległościach od słońca niewidzialne.

W miarę zbliżania się ku słońcu wygląd komety się zmienia. Oto jądro tych gazów niejako napusza się, tworząc tzw. głowę komety, jednocześnie zaś z jądra wydłuża się coraz bardziej ogon, który dochodzi nieraz do olbrzymiej długości. Tak np. ogon komety, która się ukazała w 1811 r. był dłuższy, niż odległość ziemi od słońca.

Niektóre komety mają dwa, a nawet więcej ogonów. Ogony te są zawsze wydłużone w przeciwną stronę słońca, jakby je słońce od siebie odpychało. W ostatnich czasach dowiedziano się dopiero, że siłą odpychającą jest w tym wypadku ciśnienie promieni światła słonecznego. Dowodzi to, jak lekką jest materya składająca kometę. Kometa przechodząca po niebie, nie zasłania nam żadnej gwiazdy, jest to tedy zupełnie przeźroczysty obłoczek.

Komety mamy dwojakie. Jedne są peryodyczne, i te co pewien okres czasu powracają, inne zaś przychodzą z różnych stron wszechświata, świecą czas jakiś, a pędząc dalej, giną w otchłaniach nieskończoności. Pomimo, że z górą tysiąc komet było już obserwowanych, tylko bardzo nieznaczna ich część pokazała się powtórnie. Kometa Enckego zjawia się co trzy lata, kometę Hallaya obserwowano już pięć razy, okres jej trwa 76 lat. Zaznaczyć tu musimy, że prawie każdego roku astronomowie notują pokazanie się kilku nawet komet. Wielkość i odległość ich jest rozmaita, dlatego przeważnie muszą być oglądane przez lunety, czyli astronomiczne przyrządy powiększające.

W roku 1910 zjawi się większa kometa Hallaya, zwana tak od nazwiska astronoma, który ją odkrył i badał.

Dziwaczny wygląd i nagłe pojawienie się komet, stworzyło legendę, jakoby one były przepowiednią klęsk, wojen, głodu i chorób. Niestety niema prawie roku, by jakaś ka-

tastrofa nas nie nawiedziła. Kiedy więc ukaże się kometa, bardzo możliwe, że któryś z krajów zostanie przez klęskę nawiedzony. Ale winę ponoszą wtedy sami ludzie, lub przyczyna tkwi w takich żywiołach jak woda lub ogień. Kometa bowiem ma swój własny cel i ziemią się wcale nie troszczy.

O wiele rozsądniejsze byłoby pytanie, czy kometa błądząc po przestrzeniach nie zderzy się czasem z naszą ziemią, księżycem lub inną planetą. Ale i tu niema obawy, mówiliśmy przecie, że komety to ciała nadzwyczaj lekkie jak para, więc choćby zderzenie nastąpiło, nie spowodowałoby ono najmniejszego wstrząśnienia.

W 1872 roku kometa przeszła bardzo blizko ziemi; i cóż się okazało? Oto wspaniały deszcz gwiazd spadł na naszą ziemię. Widzimy więc, że część komety została przyciągniętą przez ziemię, czyli, że owo spotkanie wyszło na niekorzyść samej komecie. Podobny wypadek zaszedł z planetą Jowisz. Ani sam Jowisz ani żaden z jego licznych księżyców nie zboczył z wytkniętej drogi, kometę za to spotkał smutny los. Olbrzymich rozmiarów Jowisz przyciągnął ją, usunięta w ten sposób ze swej drogi, zmieniła bieg swój zupełnie. Widzimy więc, że wszelkie spotkania planet z kometami wychodzą tylko na niekorzyść tych ostatnich.

Złote ziarnka.

Ten, co nic nie czyni dla zbawienia swego bliźniego, trudno, aby sam był zbawiony.

Nietylko o czyste sumienie, ale i o dobrą sławę się staraj; pierwsze twoja własna korzyść, drugie pożytek dla swoich naśladowców.

Nie dla siebie samych żyjemy, ale abyśmy się starali uczynić dla innych wszystko, co najlepsze jest w naszej mocy.

WIEŚCI ZE ŚWIATA.

Zamęt na Bałkanach.

Sprawy półwyspu bałkańskiego wikłają się coraz bardziej. Niebezpieczeństwo wojny wzrasta. Dyplomaci i politycy przepowiadają, że z wiosną przyjdzie napewno do orężnego starcia. Na razie jedynie zima powstrzymuje od groźnego wybuchu.

Czarnogóra grozi wojną.

Mała Czarnogóra sroży się i zbroi, jakby lada dzień zamierzała wypowiedzieć Austryi wojnę. Malutki Dawid porywa się na Goliata. Mimo to nikt nie lekceważy sobie tego Dawida, bo Czarnogórcy mają sławę nieustraszonych wojowników, a powtóre, że z poza pleców Czarnogórza przegląda — Rosya. Nadto Czarnogórcy ufają, że w razie wojny z Austryą, oprócz Serbii, pójdzie z nimi Turcya. Stąd ich mina tak buńczuczna. Czarnogórski minister Tomanowicz oświadczyć miał dziennikarzom, że Bośnia i Hercogowina musi otrzymać niezależność pod rządami gubernatora, ustanowionego przez mocarstwa. Gdyby to się nie stało, to Czarnogóra chwyci się ostatniego środka. Na poparcie swej groźby budują Czarnogórcy pospiesznie liczne forty nad granicą austryacką, a na górze Łowczej, tuż nad miastem Kotoro, ustawili 40 armat, pomiędzy któremi jest 6 wielkich dział, darowanych Czarnogórze przez Włochy. Góra Łowcza wznosi się blizko do dwóch tysięcy metrów ponad morze. Naprzeciw niej miasto Kotoro, w zatoce tej samej nazwy, i ostatnich kończyn Dalmacyi. Przeciwko niemu tedy skierowali Czarnogórcy one armaty. Widać zaś, że te armaty to nie żadne pukawki, skoro Austryacy powywozili z Kotoro wszelkie papiery wartościowe i dokumenty, a nawet droższe przedmioty z kościołów, przenosząc je w głąb Dalmacyi, z obawy, aby w razie rozpoczęcia wojny, nie stały się pastwą pło-

mieni. Również powyjeżdżały z Kotoro żony oficerów i urzędników austryackich. Nadto do zatoki Kotorskiej wysłano z Poli i z Fiume cztery okręty wojenne. Wszystko to wskazuje, że Austrya nie lekceważy sobie zbrojeń Czarnogóry.

Zamiary Serbii.

Anglia, Rosya, Francya i Włochy dały Serbii do zrozumienia, aby zaprzestała dąsów i zbrojeń, bo wojna z Austryą sprowadzić może na nią wielkie nieszczęście. Serbia wyparła się obłudnie, że o wojnie z Austryą nie myśli, a zaś poczynione przygotowania są tylko podyktowane ostrożnością, wobec zbrojeń Austryi. Ta odpowiedź Serbii źle usposobiła dla niej polityków powyższych państw, bo wszyscy wiedzą, że Serbia rzeczywiście dąży do wojny i czyni ogromne przygotowania. Prezydent skupczyny, Jovanović, w rozmowie z jednym z dziennikarzy zagrzebskich oświadczył: Pytasz mnie pan o zdanie, czy między Serbią a Austro Węgrami przyjdzie do wojny. Na pytanie to mogę odpowiedzieć raczej tak, niż nie. Jeżeli Austro-Węgry nie odstąpią od aneksyi, to wówczas wojna jest nieuniknioną, bo wskutek aneksyi narażoną jest zupełnie nietylko przyszłość Bośni i Hercogowiny, ale także i Serbii, oraz Czarnogóry. Musimy więc bronić tej przyszłości z orężem w ręku dziś, bo potem może być zapóźno. Mimo to nie przypuszczają, aby Serbia odważyła się na otwarte wypowiedzenie wojny Austryi. Natomiast bardzo jest prawdopodobnem, że tak Serbia, jak Czarnogóra. chcą wywołać powstanie w Bośni i Hercogowinie. W tym celu pozwalają, a nawet popierają tworzenie się band serbskich i czarnogórskich, któreby wkroczyć mogły do Bośnii. Serbowie zorganizowali podobno 20 takich oddziałów ochotniczych, liczących razem około 30 tysięcy ludzi. Urzędownie Serbia wypiera się, że nic nie wie o tych bandach wojowniczych, w rzeczy samej jednak sprzyja im i popiera. Austrya, licząc się z tem, wzmocniła swoje załogi pograniczne w Bośnii o 6 tysięcy żołnierza. Chodzi o to, aby nie wpuścić ani jednej takiej bandy z Serbii, czy Czarnogóry. Gdy pierwszą wystrzelają do nogi żołnierze austryaccy, to następnym odechce się iść na pewną śmierć. Ale takie utarczki są bardzo mozolne i długo trwać mogą. Może się więc wyczerpać cierpliwość Austryi i zmusić ją do wypowiedzenia wojny Serbii.

Katastrofa na parowcu „Arcadia"

Co do przyczyny, która spowodowała katastrofę na parowcu „Arcadia" krążą najrozmaitsze przypuszczenia. W sprawie tej donoszą z Nowego Jorku następujące szczegóły: Według wiadomości z Filadelfii, katastrofa na pokładzie „Arcadii" została spowodowana przez piekielną maszynę. Kiedy robotnik William Butler uderzył motyką pomiędzy zwoje kory korkowej. nastąpił straszny wybuch. Wszyscy ludzie, pracujący na okręcie, przewrócili się, czterech zostało zabitych, czterech śmiertelnie ranionych, wszyscy zaś inni mają mniej lub więcej ciężkie rany. Okręt z rozerwanym pokładem przewrócił się zaraz na bok, poczem wszczął się pożar. Wkrótce dały się słyszeć krzyki robotników wołających o pomoc. Załoga holownika i statków rzecznych, znajdujących się w pobliżu, skoczyła na płonący okręt i zaczęła wynosić zabitych i rannych Tak na zwłokach, jak i w ciele ranionych znaleziono gwoździe i ułamki żelaza; podobno znaleziono także na okręcie szczątki bomby z przewodami elektrycznymi. Siła wybuchu była tak straszna, że szyny stalowe pod pokładem pogięły się. Wkońcu okręt zatonął. Przy gaszeniu pożaru wielu strażników zostało zatrutych gazami; 2 z nich walczy ze śmiercią. Amerykańskie władze twierdzą, że napędzeni w Hamburgu robotnicy portowi potajemnie przynieśli na okręt bombę, która miała następnie eksplodować na pełnem morzu. Według zdania innych, mieli to zrobić robotnicy portowi w Filadelfii. Wkońcu należy zauważyć, że potas, nafta i inne chemikalia znajdowały się na pokładzie, a nie na spodzie okrętu, gdzie właśnie nastąpiła eksplozya.



WSTAŃCIE PASTERZE!

Czeski strejk szkolny. W ostatnią niedzielę odbyła się w Dux konferencya czeskich mężów zaufania z północnych Czech, która uchwaliła, że z dniem 30 b. m. czeskie dzieci przestaną uczęszczać do szkół, ponieważ zarządy gmin, znajdujące się w rękach niemieckich odmawiają wyznaczenia dla dzieci czeskich odpowiednich lokalów szkolnych. Między innemi panują takie nieznośne stosunki w Bilinie, Cieplicach, Mostach i t. d. Oprócz tego żądają Czesi utworzenia w północnej części kraju czeskich szkół wydziałowych, średnich i przemysłowych. Prośby do ministerstwa oświaty nie odnoszą skutku, gdyż latami nie załatwia się ich wcale.

Zapowiedziany strejk objąłby 15.000 dzieci czeskich.

Wielka katastrofa okrętowa. Na okręcie włoskim „Sardynia“, gdy przejeżdżał koło portu w Aleksandryi, wybuchł pożar. Ze względu na to, że akcya ratunkowa była bardzo trudną, obawiają się, że z 200 pasażerów bardzo wielu znalazło śmierć.

Do godz. 3 po południu wyłowiono przeszło 40 zwłok pasażerów i załogi. Wśród tych znajdują się także zwłoki kapitana okrętu, który do ostatniej chwili pozostał na swem stanowisku. Przypuszczają, że ogień wybuchł w magazynach w przedniej części okrętu, gdzie znajdowała się w wielkiej ilości nafta. Wśród pasażerów znajdowało się tylko 11 Europejczyków i 140 Arabów.

Według ostatnich wiadomości z parowca „Sardynia“ uratowano 9 Europejczyków i 40 arabskich pasażerów oraz 21 ludzi załogi. Brak wiadomości o 18 ludziach z załogi, 5 europejskich i 100 arabskich pasażerach.

Powrót z Prus. Masowy powrót robotników rolnych z Niemiec do kraju, już się rozpoczął. Przez Mysłowice przejeżdża codzień 2000 do 3000 robotników sezonowych i w tym celu codzień odchodzi z Mysłowic kilka specyalnych pociągów, odwożących robotników do Galicyi. Na dworcu kolejowym w Mysłowicach wydają tego roku robotnikom bilety kolejowe, aż do ich miejsca zamieszkania. Jeżeli się zbierze 10 lub więcej osób, które jadą do tej samej stacyi, to płacą tylko połowę ceny za bilet jazdy. Dawniej wydawano w Mysłowicach bilety jazdy tylko do Krakowa, gdzie robotnicy musieli nowe kupować bilety na dalszą drogę. Z powracających robotników wielu zatrzymuje się w Krakowie, gdzie po zwiedzeniu miasta i załatwieniu różnych zakupów, odjeżdżają do rodzinnych stron.

Poradnik zdrowia

Kiedy dostają dzieci ząbki. Ząbki rozwijają się u dzieci na 6 miesięcy przed przyjściem na świat, u nowo narodzonych dzieci są już utworzone korzonki przednich siecznych ząbków, przedniego, trzonowego i część korony kłów. Drugi zaś trzonowy ma jeszcze nieuformowaną koronę, a zębodół, w którym dotąd znajdowała się korona, zwęża się, przez co ząb podchodzi do góry, uciskając ciągle górną część dziąseł, które wskutek tego powoli zanikają. Dzieci nowonarodzone mają dziąsełka twarde, chrząstkowate, tworzące ostry brzeg nad koronami ząbków; na tym twardym brzegu dziąseł można niekiedy widzieć białawe wypukłości. Z wiekiem dziecka dziąsełka tracą ową twardość, mękną i rozszerzają się, brzeg ostry traci się, a ząbki zaczynają się powoli przerzynać, dziąsło zrasta się z ząbkami, tworząc pierścieniowatą nabrzmiałość, która służy do silniejszego ich umocowania.

Pierwsze ząbki, które dziecię dostaje, a których jest 20, nazywają zębami mlecznemi. Ząbki mleczne wyrzynają się w stałym porządku pięcioma grupami, zaś przerwy, jakie są pomiędzy jedną a drugą grupą zębów, trwają zwykle od 4 tygodni do 6 miesięcy Pierwsze zwykle dwa środkowe sieczne zęby u dołu wyrzynają się pomiędzy 5—7 miesiącem życia dziecka, po nich następuje przerwa 4–8 tygodni. Drugie zęby, które dziecko

dostaje są sieczne od góry, a po nich wyrzynają się 2 ząbki boczne, zwykle pomiędzy 8—10 miesiącami. po nich następuje dłuższa przerwa. Między 13 a 15 miesiącem wyrzyna się 6 ząbków, z tych 4 trzonowe i 2 boczne. Pomiędzy 18 a 20 miesiącem wyrzynają się kły, najpierw 2 górne zwane oczne, a następnie dwa dolne. W dwudziestym szóstym miesiącu wyrzynają się 4 zęby trzonowe u dołu i u góry. Z ukończeniem wyrzynania zębów mlecznych kończy się pierwsze ząbkowanie dla wieku dziecięcego. Pomimo, że ząbki mleczne są silnie osadzone w swych dołkach, to jednak z czasem dołki te rozszerzają się, ząbki zaś już są zupełnie rozwinięte i przestają rosnąć. i dlatego dołki stają się dla nich za przestrone, ząbki się obluźniają i w końcu wypadają, a w ich miejsce wyrastają ząbki nowe, zwane stałemi, gdyż po ich wypadnięciu już innych człowiek nie dostaje. Przy końcu roku czwartego, a u niektórych dzieci nawet dopiero w piątym roku wyrastają nowe czyli stałe dwa zęby trzonowe w każdej szczęce, w 7 i 8 roku wyrastają 4 sieczne środkowe, między 8 a 9 wyrastają 4 sieczne boczne, między 9 a 10 rokiem wyrastają 4 pierwsze trzonowe, między 10 a 11 wyrastają 4 kły, między 11 a 12 wyrastają 4 drugie trzonowe, między 12 a 13 wyrastają 4 tylne zęby trzonowe, nakoniec między 18 a 24 rokiem wyrastają ostatnie 4 zęby, zwane zębami mądrości; wtedy dopiero jest uzębienie całkowite, a liczba zębów wynosi 32.

Nie jest to regułą, że ząbki muszą się w tym porządku wyrzynać, często wyrzynają się dolne przed górnymi, górne przed dolnymi. ale mniej więcej idą one w tym porządku. Zmiana wyrzynania się ząbków niema żadnego wpływu na zdrowie dziecka. Niekiedy dzieci roczne a nawet starsze nie mają ani jednego ząbka, za to inne przychodzą na świat z ząbkami, a tak jedne i drugie są zupełnie zdrowe. Nie ma się czego obawiać jeżeli dziecko później dostaje ząbki, bo lepiej jest jeżeli się organizm później rozwija, niż zawcześnie. U dzieci skrofulicznych zęby przychodzą bardzo wcześnie, ale i bardzo wcześnie się psują, natomiast dzieci cierpiące na angielską chorobę, dostają zęby bardzo późno.

Niekiedy zdarza się nieprawidłowy kierunek zębów; pochodzi to z wadliwego ich wykształcenia w szczękach, np. przy wyrzynaniu zębów drugich zdarza się, że wyrastają one tuż za zębami mlecznymi, tworząc dwa rzędy zębów; w tym wypadku najlepiej jest mleczne zęby, które i tak słabo się trzymają, wyjąć.

Tak rozwój jak i wyrzynanie się zębów nie jest bolesnem i nie daje powodów do żadnych specyalnych chorób. Ząb rozwijając się w dziąśle, rośnie nadzwyczaj powoli, dziąsło cieńczeje i w końcu wierzchołek zęba przekłuwa się i pokazuje powyżej dziąseł, niesprawiając prawie że żadnego bólu. Jest to tylko błędne mniemanie, że ząbkowanie pociąga za sobą najrozmaitsze, niekiedy nawet śmiertelne choroby. Czas ząbkowania, t. j. czas między szóstym miesiącem a trzecim rokiem jest najniebezpieczniejszym w życiu dziecka, bo obfituje on w najrozmaitsze choroby. Pomimo, że powstanie tych chorób niema nic wspólnego z ząbkami, ale trudność rozpoznania chorób dziecięcych i niedostateczne wiadomości, jakie posiadano dawniej co do ząbkowania, przyczyniły się do rozpowszechnienia fałszywego przesądu który stał się powszechnym W czasie ząbkowania zachodzą i inne bardzo ważne zmiany w organizmie dziecięcym, wtedy to właśnie dokonywa się najszybszy i najsilniejszy rozwój mózgu, ciemiona czaszki kostnieją, rozwijają się gruczoły ślinowe żołądka i kiszek, a do tego wszystkiego zwykle w tym czasie odstawia się dziecko od piersi, lub przynajmniej dostaje ono prócz piersi jeszcze i inne pokarmy, co powoduje rozmaite wykroczenia dyetyczne, które to właśnie są przyczyną tej lub owej choroby, a którą my uznajemy za chorobę zębów. U dzieci zdrowszych, karmionych li tylko piersią lub też karmionych sztucznie ale rozumnie, trudno jest nawet dostrzedz, kiedy się zęby wyrzynają. Stąd też widzimy,

że ząbkowanie nie jest chorobą, ani przyczyną do żadnej choroby. To samo możemy zauważyć, gdy dzieci dostają drugie zęby, że nie cierpią one wcale, często nawet nie wiedzą, że już ząb urósł, a przecież to jest tosamo. Tu trzeba jeszcze wziąć na uwagę, że niemowlęta są mniej czułe na bóle niż dzieci starsze, wogóle ludzie starsi. Wieleż to dzieci umiera w pierwszych dwóch latach na najrozmaitsze choroby: zapalenie kiszek, mózgu, płuc i t. p., a wszystko przypisujemy ząbkom, bo choroby te trudno jest poznać u dzieci. Objawy chorobliwe, jakie powszechnie przypisują ząbkowaniu, są: rozdrażnienie błon śluzowych w ustach i w gardle, ślina płynie obficie, dziąsła brzękną i czerwienieją, dziecię jest niespokojne, oddech ma gorący, paluszki wkłada ciągle w usta, wogóle wszystko, co tylko uchwyci wkłada do ust, dziecię wzdryga się gdy mu się co do ust daje, krzyczy gdy co dziąsłami naciśnie, gdyż dziąsła i całe wnętrze ust jest bolesne i rozpalone. Niektóre dzieci dostają rozwolnienia, kataru, zaczerwienienia ócz albo mocne zaczerwienienie policzków, wreszcie drganie członków, dziecię czerwieni się i blednie naprzemian, staje się niecierpliwem, to chce na ręce, to do kołyski, ledwie się go położy, to chce znowu na ręce; to chce ssać i na pozór chwyta pierś, ale ją w tej chwili puszcza i odwraca się od niej z płaczem, widać w niem straszny wewnętrzny niepokój, niekiedy towarzyszy tym objawom nawet gorączka; wszystko to jednak niema nic wspólnego z ząbkami. Przesądem jest, że dziecko ślini się tylko na ząbki, tymczasem ślina płynie najobficiej między 3 a 6 miesiącem, t. j. w czasie rozwoju gruczołów ślinowych. Po roku ślinienie ustaje i już nie bywa przy wyrzynaniu się kłów i zębów trzonowych, które się bliżej gruczołów ślinowych znajdują. U starszych dzieci lub osób ślinienie ma miejsce tylko wtedy, gdy jest zapalenie wnętrza ust. Co zaś do wkładania paluszków i innych przedmiotów do ust, to jest to instynktowna chęć ssania objawiająca się u każdego dziecka zaraz po urodzeniu, a nie opuszczająca go aż do czasu większego rozwoju, kiedy to już inne uczucia zaczynają się rozbudzać.

Gdyby rzeczywiście, jak to sądzimy, dziecko czuło swędzenie dziąseł w czasie przebijania się ząbków, nie kładłoby paluszków do buzi, gdyż najmniejsze trącenie paluszkiem dziąsełka jużby mu sprawiało ból a nie ulgę. Że policzki są czerwone a usteczka gorące, to jeszcze nie oznacza choroby dziąseł, gdyż pojawia się to zawsze przy gorączce, której powodem może być zaziębienie, trudne trawienie, jakoteż zapalenie ust, pochodzące z niestrawności lub nieczystego utrzymania jamy ustnej, co sprawia dziecku przykry gorzki smak w ustach, ono zaś chcąc ten smak usunąć, wkłada paluszki do buzi. Jeżeli takie zapalenie jamy ustnej, dziąseł lub błony śluzowej zwiększy się, natenczas świąd przemienia się w ból, a dziecko ssać nie chce bo nie może, gdyż każde najmniejsze dotknięcie bolącej części jest bardzo bolesnem. Niekiedy dziecko miewa gorączkę, kurcze, we śnie przeżuwa lub lęka się, pojawia się to najczęściej w czasie chorób mózgowych, przy złem trawieniu i biegunce.

Wszystkie te dolegliwości pojawiają się najczęściej wtenczas, kiedy dziecko zaczyna chodzić, jest ono wtedy najprzyjemniejsze, wszyscy do niego mówią, wszyscy się nim bawią, ciągły ruch, ciągłe nowe wrażenia, jakie się cisną przed wszystkie zmysły, drażnią mózg, który jeszcze jest bardzo wątły, cały system nerwowy zostaje w ciągłem podrażnieniu, cóż więc dziwnego, że dziecko po takiej pracy ma sen niespokojny lub jest słabe i sprzykrzone. Sądzę, że to co powiedziałam wystarczy, aby nie jedna matka zrozumiała, że nie ząbki, ale przeważnie obchodzenie się z dzieckiem, tę lub ową słabość pociąga i że przyczyny złego nie należy upatrywać w ząbkach i słabości nieraz lekceważyć, ale upatrywać ją w organizmie i w warunkach życia dziecka, jeżeli zaś nie można samemu rozróżnić i zła usunąć, to trzeba zasięgnąć rady lekarza, bo przez takie lekce-

ważenie słabości, zwalania jej na karb ząbków, rokrocznie wiele dzieci przenosi się na tamten świat. Obowiązkiem każdej matki jest, aby dziecko w czasie okresu ząbkowania miało jak najstaranniejszy dozór, bo czas ząbkowania jest nietylko czasem rozwoju ząbków, ale czasem rozwoju całego organizmu, z którem to natura nieraz się opóźnia lub przyspiesza, a tak jedno jak i drugie może powodować chorobę. Jeżeli dziecko cierpi na rozwolnienie, trzeba je wstrzymać lekkiemi środkami, jak lekka orszada migdałowa, którą można dostać w każdej aptece, jeżeli przeciwnie, dziecko jest zapchane, to trzeba zatwardzenie usunąć lawatywami z czystej letniej wody, do której można, co nie jest jednak koniecznem, dodać trochę czystej świeżej oliwy stołowej. Niekiedy dziecko pomimo, że niema ani kataru ani gorączki, jest niespokojne i spać nie może, trzeba go wtedy wynosić na powietrze o ile pogoda pozwala, naturalnie na powietrze łagodne a na noc dobrze jest wykąpać go w letniej wodzie, w tym wypadku ale nie wystarcza uważać tylko na samo dziecko, ale tu i mamka czy matka karmiąca, powinna na siebie uważać, ażeby pożywienie, jakie one spożywają, nie było rozgrzewające, ażeby się pracą nie męczyły i zbytnio nie rozgrzewały i nie irytowały, bo to wszystko powiększa rozdrażnie dziecka. Szczególnie należy uważać na dzieci karmione równocześnie piersią i sztucznie, lub też całkiem sztucznie, bo zapadają one w tym czasie na niestrawność, co jest zwykle powodem różnych innych, nieraz nawet bardzo ciężkich chorób. *L. H.*

Woda. Jednem z najniewinniejszych środków jest woda, która jako lekarstwo używaną bywa w stanie troistym: woda, lód i para. Woda zimna studzienna, a jeszcze lepsza źródlana wewnątrz użyta naturalnie nie zawiele i połączona z dostatecznem ruchem moc i siłę muskularnych włókien pokrzepia, wzmacnia i ustala czynność nerwowego życia, odżywia krwi krążenie, słowem całemu ciału tak poważną nadaje potęgę, że powstający w niem zaród cierpień, a w przyjaznych okolicznościach nawet już rozwinięte choroby, przed wzmagającą się przemocą ukrzepionego organizmu dobrowolnie znikają. W każdym innym razie, woda hartuje i umacnia ciało całe i przed złym wpływem zmiennej atmosfery ubezpiecza. Woda zimna więc niezaprzeczoną ma wartość, tak jako środek leczący, jakoteż jako środek zapobiegający szerzeniu się choroby tem bardziej, że dla taniości, prostoty i pewnej obojętności postronnej na wzór innych środków nie wywiera wpływu, ale wprost jednostajnem działaniem, do zamierzonego prowadzi celu i z tego też względu wszędzie i zawsze użytą być może. Do licznych chorób, w których woda zimna z korzyścią tak zewnątrz jak i wewnątrz użytą być może, należą gorączki i wogóle choroby zapalne.

Lód, posiadający znaczniejszy stopień zimna, znajdzie zastosowanie we wszystkich tych chorobach, gdzie idzie o silniejsze wrażenie chłodu, a zwłaszcza przy miejscowych zapaleniach tak wewnętrznych jak zewnętrznych, w gorączkach i t. p. W zapaleniu mózgu, w gwałtownem uderzeniu krwi do głowy, w złamaniu kości, wogóle we wszystkich chorobach, gdzie zimne natężone działanie jest zbawienne i nieraz całego leczenia bywa zasadą, najdogodniej lód rozbity na kawałki wrzucić do dużego pęcherza, takowy zapomocą sznurka do przymocowanego w łóżku kija lub obręczy przyczepić i na cierpiącą część ciała opuszczać w ten sposób, żeby cała jej powierzchnia dokoła lodem okrytą była.

Woda ciepła we wszystkich chorobach połączonych ze zbyteczną suchością i stężałością skóry wyborny i doświadczony stanowi środek, tak dalece, że po jej użyciu utrudniony zwykle, a niekiedy nawet i zupełnie przytłumiony podskórny przewiew dobrowolnie przebudza się i orzeźwia, a tak często w sposób łagodny i dobroczynny przywraca się równowaga w cierpiącym organizmie, jak chwilowo przez wstrzymanie zaskórnych wy-

próżnień wstrzymaną została. Prócz tego w cierpieniach nerwowych, spazmach, hysteryi i t. p., woda ciepła do obmywania, kąpiel, nacierań i t. p. korzystnie używaną bywa

Woda ciepła, użyta wewnątrz, obudza ckliwość i wymioty i dlatego w razie przykrego nudzenia po zbytecznem obciążeniu żołądka nie strawnym pokarmem, kilka łyżek ciepłej wody stanowią najbezpieczniejszy środek na wymioty.

Para podobnie jak woda ciepła stanowi silny i ożywczy środek przyspieszający podskórne przeziewy i dlatego w reumatyzmach, katarach, artretyzmie i innych chorobach pozostałych z nadwyrężonego skóry działania tak miejscowo jako i ogólnie użyta, do bardzo skutecznych należy środków. Do miejscowych cierpień, para z wody unosząca się lub też dla silniejszego działania, z nalania ziół aromatycznych powstająca, kieruje się zapomocą giętkiej rurki skórzanej, lub też zapomocą lejka zwyczajnego na cierpiącą część ciała, zaś w razie ogólnego cierpienia, chorego do łaźni przenieść trzeba lub też urządzić kąpiel parową w domu, w której chory powinien być należycie osłonięty i powinien w niej pozostawać z początku kilka, a później kilkanaście minut.

Kąpiele zimne używają się w ogólnej niemocy, bezsilności i innych cierpieniach. Najlepsze są kąpiele rzeczne, które z odpowiednim ruchem połączone niejedno nadwątlone zdrowie do dawnej mocy i czerstwości doprowadziły.

Kąpiele ciepłe wskazane w tych wszystkich wypadkach, w których użycie wody ciepłej zalecane było. Kąpiele ciepłe przygotowane powinny być również z wody rzecznej, która własnością należytego rozmiękczania skóry przed innemi wodami na pierwszeństwo zasługuje. Stopień ciepłoty kąpieli powinien być tak umiarkowany, ażeby ani wrażenia żaru, ani chłodu na ciele cierpiącego nie obudzał, ale raczej łagodne i przyjemne wywarł wrażenie. Najlepiej można się przekonać o odpowiedniej ciepłocie przez zanurzanie obnażonego ramienia w przygotowanej kąpieli

Kąpiele parowe przygotowuią się w domu w następujący sposób. Chorego zupełnie obnażonego sadza się na krześle lub stołeczku umieszczonym w wannie nad naczyniem z wrzącą wodą napełnionem i chustami lub prześcieradłem aż po szyję dokoła się go okrywa. Zamiast kipiącej wody można cegłę lub kamień rozpalony na temże miejscu położyć i takowe wodą polewać, lub też wprost do wody pod siedzeniem chorego umieszczonej rozpalone żelazo lub kamień zanurzać. Jeżeli cierpiący jest tak ciężko chory, że nie można go bez narażenia przenieść do wanny, wtedy parę wydobywającą się z naczynia z ukropem napełnionego przeprowadza się zapomocą rurki lub lejka pod kołdrę, którą poprzednio zapomocą obręczy lub innym jakim sposobem nad chorym nieco unieść wypada.

Kąpiele nożne, płytsze lub głębsze, środek to powszechnie używany od bólu głowy lub zębów, zawrotu głowy, szumu w uszach, odurzeniu, niemniej w silnych napadach duszności, łamaniu krzyżów, gwałtownem uderzeniu krwi do głowy, w bolesnym i dolegliwym odpływie u kobiet, wogóle w cierpieniach po nagłem zaziębieniu. Przygotowuje się go w następujący sposób: do wanienki lub cebrzyczka dość obszernego nalewa się gorącej wody z dwiema garściami soli kuchennej, następnie trzeba dolać tyle wody zimnej, aby kąpiel stała się zaledwie letnią t. j. trochę cieplejszą od świeżo wydojonego mleka i tylko lekkie przyjemne ciepło obudzać mogła. W tak przygotowaną kapiel wkłada się obie nogi tuż prawie do kolan, które po upływie pietnastu minut suchą wełnianą chustką dobrze wytrzeć należy. Podpadanie zbyt łatwemu wówczas zaziębieniu, coby cierpiącemu jeszcze tylko szkodzić mogło, wymaga szczególnej i niezbędnej ostrożności, dlatego też najlepiej udać się zaraz po odbytej kąpieli na spoczynek do łóżka lekko przedtem wygrzanego, żeby tym sposobem obudzone nożną kąpielą podskórne przeziewy i poty utrzymać, a nawet i poniekąd z wolna powiększyć.

ROZMAITOŚCI.

Tegoroczną klęskę ekonomiczną, spowodowaną deszczami, dopełniła wczesna zima, śniegi i mrozy już w październiku. Według zebranych wiadomości statystycznych, wskutek wczesnej zimy w Galicyi zachodniej 30—40 procent, a w Galicyi wschodniej i na Bukowinie nawet 50—70 procent mniej, niż należało, dokonano zasiewów zimowych. Nadto pozostało w ziemi i nie wykopano ziemniaków w Galicyi i na Bukowinie od 10—25 procent całego zbioru. W Czechach pozostało w ziemi około 15 procent buraków cukrowych, a w Galicyi wschodniej ponieśli rolnicy ogromne straty, wskutek niemożliwości zebrania buraków. Jednem słowem, rok obecny zapisze się w kronikach kraju naszego, jako rok niebywałej klęski elementarnej.

Miła podróż morska. W nocy z soboty na niedzielę panowała na morzu Śródziemnem burza, jakiej od dawna marynarze nie pamiętają. Podróżni okrętu „Ettore", który przybył do Bryndisi z 13-godzinnem spóźnieniem, opowiadali, że parowiec ten obejmujący trzy tysiące ton, czynił zaledwie trzy mile na godzinę, zamiast dwanaście, ponieważ śruba obracała się więcej w powietrzu, niż w wodzie. Podróżni wylatywali z łóżek. Liczne parowce uległy podczas burzy katastrofom. Cztery statki osiadły na skałach, skąd je będzie można wydobyć, natomiast rosyjski parowiec „Rudłow" zatonął, angielski parowiec „Surprise" rozbił się koło Syrakuz i uważają go za stracony, a francuski krążownik „Condé" zatonął u wybrzeży Korsyki. Jest to wielka strata dla marynarki francuskiej, gdyż „Condé", zbudowany w roku 1902, kosztował 28 milionów franków.

Matkom ku przestrodze. Jedna z mieszkanek miasteczka Klimontowa, pod Sandomierzem, w guberni radomskiej, starozakonna Ryfka Tyflerowa, wychodząc któregoś dnia z domu na chwilę, poleciła 7-letniej córeczce swojej, aby dopilnowała garnków na kominie. Upłynął jakiś czas; matka nie wraca, a tu zaczyna coś w garnku kipieć. Dziewczynka obawiając się, żeby strawa nie wykipiała, biegnie coprędzej do komina, i sięgając od strony paleniska stara się garnek odsunąć. Wtem sukienka na niej się zapala, i w mgnieniu oka nieszczęśliwą dziewczynkę ogarniają płomienie. W tej chwili właśnie matka staje w progu, ale spostrzegłszy dziecko, wijące się w płomieniach, traci przytomność i zamiast je ratować, łamie bezradnie ręce, krzyczy i zawodzi. Na krzyk jej zbiegają się sąsiedzi; cóż, kiedy wszelki ratunek już na nic! Dziecko już dogorywało i wkrótce w najokropniejszych cierpieniach życie zakończyło. Jakaż to boleść dla matki, która sama przez nieoględność dziecko swe na niebezpieczeństwo naraziła! Niechże to będzie nauką dla wszystkich, żeby dzieci nigdy nie zostawiać przy ogniu, a cóż dopiero, żeby im jeszcze kazać garnków z gotującą się strawą pilnować.

Niedzielny „bumel" w Pradze. W niedzielę przyszło tu znowu do ekscesów. Dostęp do Przykopów odcięła policya już wcześnie przed południem. Poza kordonami policyjnemi nagromadziły się tłumy. O godzinie 11$^1/_2$ pojawiła się pierwsza grupa niemieckich studentów na Przykopach, a za nią dalsze. Tłumy zebrane za kordonem policyjnym, wzniosły okrzyki nieprzyjazne dla Niemców i śpiewały pieśni narodowe. Studenci czescy mieli urządzić przed południem demonstracyę na rzecz szkół czeskich w północnych Czechach; ponieważ jednakże urządzający pochód nie mogli spełnić warunku żądanego przez władzę i nie dali gwarancyi, że nie spotkają się ze studentami niemieckimi, pochodu zakazano. Studenci czescy, wyszedłszy z czeskiej techniki, przybyli na plac Wacława, skąd za okazaniem legitymacyi puszczono ich na Przykopy. Jednakże za stu-

dentami wdarło się na Przykopy wiele osób z tłumu. Przyszło do starcia. Jeden student niemiecki został zraniony uderzeniem laski w głowę. Studenci niemieccy cofnęli się do kasyna niemieckiego. W ulicy Nekazanka chciała żandarmerya rozciągnąć kordon. Z tłumu rzucano kamieniami i zraniono jednego policyanta ciężko, tak iż Towarzystwo ratunkowe przewiozło go do szpitala. Na Przykopach stała się sytuacya bardzo krytyczną i dopiero wojsko, zarekwirowane z koszar Józefa, wyparło tłum. Następnie rozprószyła policya tłumy z sąsiednich placów i ulic podczas czego w jednem miejscu dobyła szabel, gdy ją obrzucono kamieniami.

Bójki studentów w Wiedniu. Na uniwersytecie w Wiedniu przyszło do krwawych bójek pomiędzy studentami włoskimi a niemieckimi. Włosi w liczbie około 200, urządzili zgromadzenie w sali uniwersytetu na którem domagano się od rządu, utworzenia włoskiego uniwersytetu w Austryi. Nie podobało się to studentom Niemcom. Napadli więc na Włochów, obili ich laskami a nawet rewolwery i sztylety były w robocie. Przywołano policyę, która dopiero położyła kres krwawej bójce. Rannych jest kilkudziesięciu studentów. Zdaje się, że to dopiero początek dalszych awantur. Uniwersytet będzie prawdopodobnie zamknięty. Młodzież zamiast się uczyć — politykuje.

Lekarswo na raka. Dzienniki paryskie donoszą, że jednemu z lekarzy belgijskich udało się wynaleść niezawodne lekarstwo na raka. Preparat będzie przedstawiony paryskiej akademii nauk. Sposób leczenia jest jeszcze w tajemnicy, krążą tylko pogłoski, iż preparat polega na tem, że cała okolica ciała dotknięta rakiem, w przeciągu trzech dni kamienieje i sama potem usuwa się z organizmu.

Car Mikołaj a proroctwa. Jak donoszą z Petersburga, powołano na dwór rosyjski nowego okultystę Millera. Miller w kilku „seansach“ prorokował na wiosnę wojnę na Bałkanach i katastrofę pomiędzy Niemcami a Anglią z powodu Serbii Wrażenie, jakie proroctwa te sprawiły na dworze rosyjskim, było piorunujące. Miller pozostawił odjeżdżając, zapieczętowany list z dalszemi proroctwami.

Żona kupiona na wagę. Niezwykły ten wypadek zaszedł w pewnej węgierskiej wiosce. W okolicy tamtejszej panuje bardzo stary zwyczaj, że narzeczony płacić musi swym przyszłym teściom krótko przed weselem stosowne odszkodowanie. Pewien bogaty gospodarz, w żaden sposób nie mógł się ugodzić z narzeczonym swej córki na ową cenę kupna. Zwołano więc miejscowego burmistrza, którym był pewien rzeźnik, by rozsądził spór. Ten też wydał wyrok Salomonowy. Zupełnie po rzeźnicku ustanowił, że za funt narzeczonej, narzeczony zapłacić winien 2,50 mk. Dziewczynę zważono, a że ważyła tylko 86 funtów, więc wielce uszczęśliwiony narzeczony zapłacił 215 marek.

Ślub. W Biezdrowie w Księstwie Poznańskiem odbył się dziś ślub p. Henryka Nennela, urzędnika krakowskiego Biura korespondencyjnego z panną Różą Stryczyńską.

Dbały o swoje.

Żona: — Miałeś wypić tylko jeden kufel piwa i zaraz wrócić do domu, a ty przychodzisz nad ranem.

Mąż: — Nie moja wina, szynkarz nie miał mi wydać reszty z dwu dolarów, musiałem więc odpić swoje pieniądze.

Po terminie.

— Jak wypadł dzisiejszy termin?

— Bardzo źle; wyobraź sobie, wpakowano mi trzy dni więzienia.

— A do licha, no to postaraj się tę karę odsiedzieć w miesięcu grudniu.

— Dlaczego właśnie w grudniu?

— Bo mamy wtenczas najkrótsze dni.

DZIAŁ GOSPODARCZY.

Rozkład pracy gospodarczej na grudzień.

Wszędzie pełno zapasów, czas zimny, mięso nie podlega zepsuciu, owoce i jarzyny strzedz, by nie przemarzły i nie gniły. Przed świętami zająć się wszelkim praniem i porządkami domowymi, aby nie zostały na ostatni tydzień. W ostatnim tygodniu dosyć jeszcze będzie pracy. Ryby na wigilią kupić dzień przed wigilią i nasolić je solą sparzoną co im nadaje wiele smaku. Kto chce taniej ryby kupić, ten niech kupuje dopiero w wigilię po południu, ale w tym wypadku o dłuższem nasoleniu mowy być nie nie może. Najlepiej kupować ryby żywe. Jeżeli zaś kupuje się ryby zaśnięte, trzeba uważać, aby skrzele przy otwieraniu szczęk były ładne czerwone. jeżeli są blade lub ciemne, to ryba jest nie świeża, również oczy powinny być wypukłe, jeżeli oczy są wpadnięte, głębokie na tenczas ryba pomimo że czasami w silne mrozy, nawet złej woni nie wydaje, do użytku się nie nadaje. Głównie więc uważać trzeba na ładną barwę skrzeli, na wypukłość oka, na barwę i twardość skóry; na rybach starych, czyli nieświeżych, skóra jest ciemna i miękka, marszczy się pod palcami. Chcąc ryby surowe przechować przez kilka dni, bez uszczerbku jej smaku, trzeba je koniecznie nasolić solą prażoną, w tym cele bierze się sól białą, tak zwaną śniegówkę i ogrzewa się ją na patelni, dopóki troszeczkę nie zżółknie i nie przestanie trzeszczeć mieszając ciągle.

Drób utrzymywać ciepło, w kurniku powinna być zawsze woda do picia, woda ta nie śmie być zamarznięta, trzeba ją kilka razy dziennie zmieniać, wogóle w kurniku nie powinno być tak zimno, aby woda zamarzała. W kurniku powinno być chociaż w jednej stronie sporo podściółki. aby kury idąc spać mogły się w nią zagrzebać. Na podłodze rozsypać im sporo sieczki z poślадem, aby ich zmusić do grzebania przy wyszukiwaniu ziarna, takie grzebanie wytwarza bardzo wiele ciepła. W kilku miejscach porozwieszać chwaście kapusty, buraki, wiązanki pokrzyw z nasieniem, które drób bardzo lubi i chętnie do nich doskakuje. Dwa razy dziennie rano i wieczór dawać ciepłą karmę z gotowanych ziemniaków, z sypką, a w południe ziarno. Jeżeli na polu ładnie, wypuszczać drób w południowe godziny na pole, ale nakarmiwszy i napoiwszy go rano w kurniku. Jeżeli drób jest na polu, trzeba uważać aby nie dziobał śniegu, bo to ogromnie szkodzi. Kury, które dziobią śnieg, nietylko że się źle niosą i często chorują. Dla oszczędności pracy i zachodu o ciepły kurnik, wiele gospodyń trzyma kury nad chlewami, lub w stajni przy bydle. Tak jedno jak i drugie, jest nie dobre. Nad chlewami kury mają ciepło, ale często chorują na różne choroby, które świnie przebyły, a które są zagnieżdżone w chlewie. W krowiarni zaś, drób szukając ziarna w żłobach, zanieczyszcza je. Ciepłota w krowiarni powinna być umiarkowana mniej wiecej około 12° R.; taka najwięcej sprzyja wytwarzaniu się mleka. Niższa ciepłota jest szkodliwą ze względu, że wiele pożywienia zostaje zużytem na wytworzenie ciepła, wyższa zaś rozdelikaca ciało, zwalnia ogólną działalność wszystkich narządów, a w szczególności narządów mlecznych. Wielki wpływ zimową porą na mleczność ma pojenie wodą jeżeli już nie cokolwiek ogrzaną to przynajmniej wystałą. Kto może, niechaj rozgotuje trochę kartofli, doda do pita, prócz tego trochę soli i ospy.

W sadzie rozwozić nawozy do nawożenia dołów pod mające się sadzić drzewka i do nawożenia drzew słabych. Śnieg z gałęzi otrząsać zwłaszcza z drzew młodych, aby śnieg gałązek nie naginał ku ziemi i nie łamał. Około pni śnieg mocno udeptywać aby się

utworzyła skorupa, co utrudnia dostęp myszom i opóźnia zawcześne rozmarzanie ziemi na wiosnę. Zbierać po śniegu opadłe liście i palić, zabepieczać młode drzewka przed zającami i innemi szkodnikami. Stare i chore drzewa usuwać, opaski z drzew zdejmować i palić. *L. H.*

Sadze jako nawóz azotowy i środek przeciwko podjadkom. Wartość sadzy zależy od temperatury, w jakiej były przechowane. Sadze składają się przeważnie z czystego węgla z przymieszką popiołu, składników amonowych. Sadze są nie tyle polecenia godne, jako nawóz, co jako ochrona przed podjadkami. Sadze są właściwie głównym czynnikiem ochronnym młodych roślin przed owadami, a nawet niszczą takowe zupełnie. Zawierają one prócz tego kwas mrówkowy, który chroni rośliny w krytycznym czasie pierwszego rozwoju, przez to że azot będąc bardzo ropuszczalnym, przyspiesza ich rozwinięcie, i przez to skraca ten krytyczny okres. Wielką zaletą sadzy jest to, że czerpią one nietylko azot z powietrza, jak rośliny strączkowe, lecz czerpią go także i w innych warunkach. Jeżeli np. worek ze sadzami powiesimy w oborze, gdzie jest dużo azotu, to sadze wskazują powiększoną ilość azotu. Przybrany jednak ten azot, łatwo się ulatnia bez przymieszki gipsu i potazu które go wiążą, kardzo więc korzystnem jest mieszać sadze z popiołem. Sadze sypie się po wierzchu aby dać roślinie nie tylko azot ale w miarę jak ona korzysta z tego nawozu, czerpała sobie sama azot z powietrza. Że zaś sadza zabija owady i podjadki, na to mamy najlepszy dowód na rozmaitych mięsiwach, które zostały dłuższy czas odymiane, nie ulegają one zepsuciu i mogą być nawet bardzo długo konserwowane.

Nowy sposób sztucznego wylęgania jaj. We Włoszech bywa zastosowany następujący sposób wylęgania jaj.

Dno płaskiej miski blaszanej odpowiedniej wielkości i boki jej wykłada się wełną, na której układa sie przeznaczone do wylęgania jaja.

Następnie przykrywa się miskę pokrywą blaszaną łupkową, tak aby pomiędzy jajami a pokrywą pozostała jeszcze wolna przestrzeń na wysokość 1 cm. W stosie mierzwy wygrzebuje się dziurę około 40 cm. głęboką, o średnicy odpowiadającej rozmiarowi miski, wstawia w nią ostrożnie miskę, pokrywa lekko nawozem i pozostawia tam przez 20 dni.

Po dwudziestu dniach mierzwę się usuwa, miskę odkrywa, a wylęgłe pisklęta oddaje pod opiekę kurze.

Jaja stare rozpoznać można, gdy pływają po powierzchni wody słonej, do której wzięto na 10 części wody 1 część soli kuchennej: Cuchnące, lub zwietrzałe jaja pływają już na czystej wodzie, gdzie zdrowe i świeże natychmiast utoną. Aby poznać kiedy zostały zniesione rozpuścić 120 gramów soli kuchennej w litrze wody i włożyć w to jajo.

Jeżeli zupełnie świeże, pójdzie na sam spód; gdy pochodzi z dnia poprzedniego nie dosięgnie spodu; a gdy przed 3-ma dniami było zniesione, natenczas pływa na powierzchni wody.

Jaja przechowują się doskonale w kwasie solicylowym. 50 gr. kwasu rozpuścić w odrobinie eteru winnego i rozcieńczyć 1 litrem wody; w tym płynie zostawić jaja na godzinę, następnie obetrzeć i zapakować do skryni ze sieczką.

Wypas gęsi. Dosyć silnie rozwinięty w naszych mniejszych gospodarstwach chów gęsi nie daje takich korzyści, jakieby mógł przynosić, dlatego, że gęś dostawiona na targ jest chuda, albo cokolwiek tylko podgładzona i aby mogła być odpowiednio spożytkowana, musi być dopiero karmiona czyli wypasana.

Praktykowane u nas w wielu jeszcze miejscach utrzymywanie gęsi na gminnych pastwiskach może ją wyżywić z wielką ujmą dla innych zwierząt, korzystających z tego pastwiska, podpasanie zaś na ścierniach i runiach oziminnych daje towar zaledwie pod-

gładzony. Gęś zaś, o ile ma stanowić towar pokupny i dobrze płatny, musi być tłusta, gdyż tylko wtedy mięso jej, tłuszcz, wątroba, a nawet pierze mają swoją właściwą wartość.

Wypasanie gęsi odbywało się dotychczas przez przymusowe napychanie gałkami, sposób ten jednak, jakkolwiek ostatecznie dawał wyniki dobre, uważać można nie tylko jako dręczenie zwierząt, ale przy wypasie na większą skalę prowadzonym, wymagał on dosyć znacznej obsługi, co bardzo utrudniało wypas i zmniejszało dochody.

Na Śląsku zarzucono ten sposób wykarmiania, a wprowadzono karmienie naturalne. Stwierdzono mianowicie, że gęsi osadzone w miejscu, pozbawionem światła dziennego, a oświeconem sztucznie, miewają tak wielką chęć do jadła, że wielkie dawki pożywienia dobrowolnie spożywają i przez to zupełnie dobrze są wykarmione w czasie o 2 tygodnie krótszym, niż zwykle. Na Śląsku ten rodzaj wypasania wprowadzono na wielką skalę. W okolicy między Bunzlau a Haynau z daleka widzieć można budynki jasno oświetlone, w których tysiące gęsi się wypasa. Całymi wagonami dostarczane są chude gęsi, a zabierane tłuste; napychanie gałkami i kluskami stało się zupełnie zbyteczne, trzeba tylko pewnej uwagi ze światłem, aby nie zapuścić ognia. W owych wypasarniach na Śląsku światło pomieszczone jest w otworach muru, z wewnątrz zaszklonych, z dostępem do latarń zewnątrz. Latarnie oświecane są naftą.

Znawcy twierdzą, że mięso, tłuszcz i wątroba gęsi, opasanych tym naturalnym sposobem, jest daleko smaczniejsze, a zarazem zdrowsze od mięsa z gęsi, sztucznie karmionych. Wartoby wypróbować ten nowy sposób wypasania gęsi, aby jednak koszt światła się opłacił, należałoby użyć do próby przynajmniej dziesięciu gęsi. Przedewszystkiem jednak zapewnić sobie trzeba wszelkie bezpieczeństwo co do zapuszczania ognia, aby dla tłustej gąski nie narazić się na straszną klęskę pożaru.

Strucle maślane. $^1/_4$ kg. mąki rozczynić z ośmioma deka drożdży, wyrobić dobrze aby grudek nie było, następnie dodać jeszcze $1^1/_2$ kg. mąki, $^1/_4$ kg. roztopionego masła, $^1/_4$ kg. czysto obranych rodzynków i tyle letniego mleka, aby ciasto nie było zbyt wolne, następnie wyrabiać go tak długo, aż będzie od łyżki odstawało. Potem daje się go w ciepłe miejsce aby wyrosło, po wyrośnięciu wyrabiać na stolnicy strucle zwijane lub plecione.

Strucle z makiem. Na 1 kg. mąki dać 2 całe jaja i 12 deka klarowanego masła, 12 deka miałkiego cukru i 3 deka drożdży, (do drożdży dodać trochę mąki i cukru, aby lepiej wyrosły: jeżeli się niema drożdży pewnych, dodać odrobinę miałkiej sody), wyrobić wszystko razem, dolewając po trochu letniego mleka, uważając aby ciasto nie było za wolne. Wyrabiać tak długo, aż się pokażą pęcherzyki, wtedy postawić w ciepłem miejscu aby wyrosło, a tymczasem przysposobić sobie mak. Litr mielonego maku sparzyć kipiącym mlekiem lub wodą, osączyć dobrze i trzeć wałkiem w donicy lub misie, zakrapiając mlekiem i dodając cukru, cynamonu odrobinę, trochę drobno siekanych migdałów. Gdy ciasto wyrośnie, wyrabiać na stolnicy podługowate placki nakładać grubo makiem i zawijać w strucle.

Bułki postne. 4 litry przesianej mąki rozczynić litrem letniej wody, 6 deka drożdży rozpuścić w $^1/_4$ litra mleka i dodać trochę soli wyrabiać tęgie ciasto, tak aby od rąk odstawało, następnie postawić aby wyrosło, a gdy wyrośnie wyrabiać bułki wielkości zwyczajnego chleba, posmarować białkiem i wstawić w piec.

Bułki postne innym sposobem. Zrobić ciasto jak wyżej. 4 litry mąki, $^1/_4$ l. letniej wody 6 deka drożdży, jedno całe jajo kieliszek świeżej oliwy stołowej i łyżkę cukru miałkiego (cukru można dać więcej ale można też zrobić całkiem bez cukru). Wszysto to razem dobrze wyrobić, następnie postawić w cieple by wyrosło a po wyrośnięciu wyrabiać bułki, smarować jajkiem i wstawić w piec.

Bułeczki na mleku. $^1/_4$ kg. mąki pszennej, 6—8 dek. drożdży rozczynić w mleku i postawić niech rośnie. Gdy już drożdże podejdą, wlać do miski, w której mamy 2 kg. mąki, dodać 2—3 całe jaja, 10 dek. masła topionego, trochę soli, $^1/_2$ litra letniego mleka, można także dodać trochę cukru i wyrabiać tak długo aż od rąk odstanie, jeżeliby było za tęgie, to dolać mleka ale miernie. Gdy wyrobione odstawić aby wyrosło, potem wyrabiać podługowate bułeczki a gdy jeszcze raz podrosną, smarować jajkiem i wstawić w gorący piec na godzinę.

Śledzie zwijane. Śledzie mleczaki namoczyć w wodzie na 24 godzin zmieniając wodę kilka razy, potem zdjąć skórkę rozdzielić każdego śledzia na połowę, odrzucając głowę i ość grzbietową, starannie oczyścić z pozostałych ości i każdą połówkę posmarować musztardą potem składać dwie połówki razem i zwijać w ruloniki. Zawinięte ruloniki układać na okrągłym półmisku, lub płaskiej salaterce i zalać następującym sosem. Wszystkie mleczka dobrze posiekać, rozetrzeć je dobrze z oliwą i wystudzonym octem przegotowanym poprzednio z korzeniami (kilka ziarnek pieprzu i angielskiego ziela, jeden lub dwa listki bobkowe, jedną sporą cebulę drobno pokrajaną), do tego sosu wkrajać kilka plasterków cytryny i małego kiszonego ogórka, zalać nim śledziki tak, aby były całkiem pokryte. *L. H.*

Nad wpływem sposobu wygniatania masła po wyjęciu z maślnicy na jego twardość, przeprowadzał badania A. Nestrylajew, z czego zdaje sprawę za Mołocznoje Chaziajstwo.

1. Masło wygniatane bez wody, okazuje większą trwałość niż płukane w wodzie.

2. Masło niesolone trzeba wygniatać 2 razy.

3. Masło solone: *a*) dwukrotnie wygniatane jest trwalsze niż jednokrotnie; *b*) gdy tylko raz wygniatamy, trwalsze jest osolone po wygniataniu, niż przed; *c*) przy dwukrotnem wygniataniu też lepiej solić po wygniataniu; *d*) jeżeli masło osolimy zaraz po wyjęciu z maślnicy, wszystko jedno gdzie je trzymamy, gdy się soli po wygniataniu musi, być masło trzymane w chłodnem i ciemnem miejscu, jeżeli nie wygniatamy odrazu; *c*) zlewanie masła wodą podczas wygniatania wpływa ujemnie na trwałość masła — masło wygniatane bez wody jest zawsze trwalsze.

Jak poznać miód fałszowany. Do buteleczki z przezroczystego szkła, wlać dwie łyżki miodu i sześć łyżek spirytusu, zamącić, ogrzać dobrze i mocno wstrząsać. Jeżeli miód prawdziwy rozpuści się zupełnie, gdy fałszywy, w płynie utworzy się na spodzie biały osad.

Niezwykła płodność u świń. Lekarz weterynaryi Diem. Burkausen wspomina o niezwykle płodnej świni. Wydała ona w ciągu 7 lat 186 prosiąt. A mianowicie w 1899 roku miała tylko 7-ro, ale przez następne lata: 24, 27, 31, 25, 22, 27, 30, zaś już 1907 r. tylko 10 ro.

Katechizm narodowy
czyli opis dobrej rodziny polskiej.

Wiemy wszyscy, co to jest wiec ludowy. Wiemy, jaki wpływ wiece ludowe mają na oświatę ludu naszego.

Te wiece były solą w oku rządu i hakatystów. Zmówili się więc pruscy posłowie i ukuli w parlamencie niemieckim nową ustawę o stowarzyszeniach i zgromadzeniach. Paragraf 12 tej ustawy jest t. zw. paragrafem językowym, który na celu ma uniemożliwienie względnie utrudnienie polskich wieców ludowych.

W powiatach, w których nie ma 60 Polaków na 100 mieszkańców, nie wolno nam już dziś wedle nowej ustawy odbywać wieców ludowych w języku polskim. W powiatach, w których jest więcej nad 60 Polaków na 100 mieszkańców, wolno nam takie wiece urządzać, ale tylko do czasu, przez przeciąg

20 lat. Po upływie tych 20 lat w całym zaborze pruskim i wogóle w całej Rzeszy niemieckiej nie będzie już wolno na wiecu przemówić po polsku.

Czy tym samym przestaniemy być Polakami? Jako żywo nie!

Jeżeli nam system pruski z dłoni jedną broń wytrąca, będziemy się tym zacięciej bronić innymi sposobami. Jeżeli system pruski wygania język nasz ojczysty z publicznych wieców ludowych, tymbardziej cenić i pielęgnować będziemy go w prywatnem naszem ognisku domowem. Jeżeli system pruski chce spętać naszą pracę publiczną na sali wiecowej, tembardziej niezdobytą twierdzą polskości stanie się — dom polski, polska rodzina.

Ten dom polski dotąd więcej niż kiedykolwiek stać będzie na straży naszej polskości.

A kiedy rodzina polska jest rzeczywiście szczerze polską.

Jest szczerze polską, jeżeli obowiązki narodowe spełnia w sposób następujący:

1. Rodzina posługuje się możliwie czystym i poprawnym językiem. Wtrącanie do mowy polskiej zwrotów niemieckich — choćby żartem — surowo zakazane. Dzieciom nie wolno z podwórza, ulicy czy szkoły wnosić niemczyzny do domu. Dzieci są pouczone dokładnie, jak przedmioty i przybory nauki oraz jak przedmioty codziennego otoczenia i użytku nazywają się po polsku. Dzieci są pouczone dokładnie, jak się znane im miasta, wsie, ulice, place, kościoły i inne gmachy nazywają po polsku.

2. Dzieci mówią pacierz głośno, wolno, dobrą polszczyzną, bez przekręcania słów.

3. Dzieciom nakazane jest obcowanie z polskimi dziećmi. O ile zetkną się z dziećmi niemieckimi, nie wolno im bez wszystkiego używać języka niemieckiego, chyba, że polskim zgoła porozumieć się nie mogą.

4. Dziecko, nim idzie do szkoły, doznaje od rodziców lub starszego rodzeństwa początków nauki polskiego czytania i pisania. Jeżeli rodzice i starsze rodzeństwo pracy tej podjąć się nie mogą, starają się o taką naukę u krewnych, przyjaciół, znajomych.

5. W latach szkolnych dziecko zapoznaje się z prawdami wiary św. w języku polskim, spowiada się w tymże języku i ma polską książkę do nabożeństwa. Oprócz tego dziecko uczy się dalej polskiego czytania i pisania, również polskich dziejów, polskiego piśmiennictwa i geografii polskiej.

6. Dzieci uczą się polskich wierszyków, polskich pieśni i polskich zabaw. Surowo mają zakazane śpiewanie pieśni niemieckich po za szkołą w domu czy na dworze, zakazane także branie po za szkołą udziału w niemieckich zabawach z innymi dziećmi.

7. Dzieci otrzymują zamiast nieużytecznych podarków, polskie książeczki, patryotyczne obrazki itp. rzeczy narodowe.

8. W domu na ścianie wisi obok obrazu religijnej treści obraz treści narodowej.

9. Rodzina nie zapomina o wielkich świętach narodowych (np. rocznicy konstytucyi 3-go maja, rocznicy wybuchu powstania listopadowego itp.). Tym świętom narodowym głowa rodziny lub ktoś ze starszego rodzeństwa poświęca krótkie stosowne wspomnienie.

10. Rodzina nie zapomina o naszych uroczystościach zwyczajowych, jak o wieńcach, dożynkach, święconem, dyngusie itp. i dba o zachowanie polskich strojów ludowych.

11. Gdy nadejdą dłuższe wieczory, czyta się w kole rodziny dzieje Polski małymi ustępami. Czyta je rodzic lub ktoś ze starszego rodzeństwa lub na odmianę.

12. Polska gazeta polityczna jest stałym towarzyszem rodziny. Ważniejsze wypadki z naszego życia zbiorowego, opisane w gazecie, omawia się w kole rodziny tak, by w dorastającej młodzieży obudzić zawczasu poczucie obowiązków wobec własnego rodzeństwa, a poczucie odporności wobec wroga.

13. Rodzina utrzymuje stosunki bliższe tylko z polskimi rodzinami. Rodzina nie dopuszcza, by syn żenił się z Niemką, a córka wyszła za Niemca.

14. Rodzina mówi także wszędzie po za domem głośno i śmiało po polsku, na ulicy, na rynku, w restauracyi, w kawiarni, w podróży, w tramwaju itp. Rodzina, o ile się do nieznajomych zwraca z zapytaniem, czyni to w języku polskim.

15. Rodzina stara się o książki polskie z Czytelni ludowej lub innych towarzystw.

16. Rodzina korzysta z każdej możliwej sposobności, by wysłuchać dobrego polskiego wykładu, by wziąć udział w polskiej zabawie i przyjrzeć się przedstawieniu polskiemu, wykonanemu czy to przez amatorów, czy też przez zawodowych aktorów. Krokiem natomiast nie postoi na sali, gdzie się niemiecki wygłasza wykład germanizacyjny, gdzie niemiecka zabawa germanizacyjna lub niemieckie widowisko germanizacyjne.

17. Rodzina kieruje się sumiennie hasłem: swój do swego! przyczem nietylko od swoich kupuje, ale domaga się także — o ile tylko można — polskich wyrobów. Pieniądze zaoszczędzone zanosi do polskich jedynie banków.

18. Rodzina stroni od wszystkiego, co ubliża naszej dumie narodowej, np. od prowokujących nas, szowinistycznych pruskich uroczystości.

19. Rodzina wykonywa swoje prawa obywatelskie i w danym razie broni ich przed samowolą władz, np. przy nadużyciach w urzędzie stanu cywilnego.

20. Ojciec rodziny sumiennie spełnia wszystkie obowiązki wyborcze wedle wskazówek naszych władz wyborczych i naszej prasy narodowej.

21. Ojciec, matka i starsze pozaszkolne rodzeństwo biorą udział w życiu towarzystw obywatelskich, względnie towarzystw młodzieży.

22. Rodzina poczuwa się do obowiązku ofiarności na cele publiczne, narodowe.

23. Ojciec, matka, oraz synowie i córki, ponad 18 lat należą do „Straży", płacą regularnie wkładki i szerzą oświatę narodową wedle niniejszego katechizmu narodowego.

Jadwiga z Łobzowa.

POWINSZOWANIE.

(Panu nauczycielowi)

Błyska słońce złotem,
Na wysokiem niebie,
Oto idą dzieci
Z życzeniem do ciebie,
Niech Ci Bóg nagrodzi
Wieczną szczęśliwością.
Żeś otoczył dzieci
Ojcowską miłością,
Niech z tych dzieci rośnie
Dla Ciebie pociecha,
Niech uczci Twe imię
I wioskowa strzecha.
Mówią, że na świecie
Najlepszy ten król,
Co światło rozsiewa
I ulecza ból.
Ty nas wiedziesz w drogę.
Gdzie prawda, nauka...
Gdzie w pracy się szczęścia
Ziarenko wyszuka.
Dziękujem za trudy...
Życzymy pociechy...
Wiedź dalej te dzieci
Z pod ubogiej strzechy.

Chciałby wujcio sto lat żyć?
Chciałby wujcio sławnym być?
Chciałby szczęścia mieć bez miary?
Chciałby młody być, nie stary?
Chciałby pociech mieć bez końca?
Życie jasne jak blask słońca?
Takie słodkie jak miód z ula?
Takie miłe jak matula?...

Jeśli wujcio pragnie tego,
To ja życzę z serca mego
Niechaj wszystko tak się stanie!
A tu wujcio coś dostanie
I od tatka i mamusi,
Bo podarek już być musi.

Gdybym był Kościuszką,
Przyniósłbym ci chwałę...
Żem jeszcze nie urósł
Niosę serce małe.

Gdybym był Dąbrowski,
Zbierałbym legiony...
Żem jeszcze maleńki
Przynoszę ukłony.

Gdybym był Głowacki,
Zdobyłbym armaty...
A tak tylko niosę
Ciastka do herbaty.

Żyj Tatusiu!... zawsze zdrów...
O swym synku dobrze mów...
Będziesz radość z niego miał...
Bo ja będę tego chciał!

Chodzę sobie chodzę —
Ciągle się turbuję,
Jak ja tobie Mamo
Dzisiaj powinszuję.
Nikt mnie nie nauczył,
Nikt mi nie dyktował,
A więc jak potrafię,
Tak będę winszował.

Życzę zdrowia tyle,
Aby wystarczyło
Na 200 lat życia
Nigdy nie ubyło.
Życzę, aby Mama
Z nas pociechę miała...
I nigdy się na nas.
Nigdy nie gniewała
Życzę, żeby mama
Groszy miała tyle,
Żeby mogła kupić
Lasu ze trzy mile...
Tobyśmy w tym lesie
Wesoło biegali,
Poziomki, maliny
Dla mamy zbierali. —
A na koniec jeszcze,
Życzę Mamie tego,
Aby miała dla nas
Zawsze coś słodkiego...

Żebyś ty matusiu królową została,
Toby cię twa córka lepiej nie kochała.
Żebyś ty mamusiu w dyamentach chodziła,
Tobyś memu sercu już milszą nie była.
Żebyś ty mamusiu i pół świata miała,
Tobyś zawsze o mnie i tak pamiętała.
Bo ty kochasz dzieci i nad niemi czuwasz,
A choć cię zasmucą, to ich nie odsuwasz.
Więc ja życzę dzisiaj z serca, jako czuję,
Bym była pociechą, i to obiecuję,
Iż starać się będę codzień być grzeczniejsza
I ty bądź szczęśliwa mamo najmileńsza.

Przyszli my tu do Babuni...
Z piosenką wesołą...
Otoczyli my Babunię
Jak ptaszki w około...
I życzymy, niechaj „Zdrowie“
Nigdy nie ucieka...
Niechaj „Smutek“ razem z „Troską“
Trzyma się z daleka,
I życzymy, by Babunia
O „łzach“ zapomniała,
A nas zawsze i pieściła
I zawsze kochała.
Choć tam czasem coś się zbroi,
To nie z serca złego...
I my dzisiaj przyrzekamy
Nie będzie już tego.
Przyszli my tu do Babuni
W uroczysty ranek...
I chylimy się składając
Życzeń naszych wianek.
O Babuniu!... żyj sto lat.
Nam przy Tobie milszy świat!

Kołysałaś mię Babuniu,
Gdy byłem maleńki,
Teraz Tobie ja zaśpiewam
Wesołe piosenki.
Pieściłaś Ty mię Babuniu
Uczyłaś miłości...
Będę zawsze grzeczny, dobry
W dowód mej wdzięczności.
Nie smuć że się, Babciu droga
Bóg smutki przemieni...
Ty żyj długo, aż się Tadzio
Z królewną ożeni.

DODATEK POWIEŚCIOWY

DO NR. 12 „PRZODOWNICY" ZA GRUDZIEŃ 1908 R.

ZNOWU JEDEN ROK!

Znowu jeden rok!...
Przeminął...
Hej! hej! zniknął jako mgła,
Nie wróci!... Nie znajdziesz,
Gdzie jest ścieżka ta,
Po której się toczy
Życia twego szlak...
Dzień za dniem ulata,
Szybko — skrzydły ptak.

Znowu jeden rok!
Skończony...
Hej! hej! jak z wiślanych fal...
Nie wróci się żadna,
Tak daremny żal
Nie powrócą chwile,
Które uniósł czas...
My płyniem jak z falą
Prąd unosi nas.

Znowu jeden rok!...
Za tobą...
Hej! hej!... zwróć wzrok, spojrzyj tam!...
Co siane, to wzejdzie,
Plon przyniesie nam...
Ziarnem ważyć będzie,
Każdy dobry czyn..
Chroń życie od plamy
Obmyj serce z win.

Znowu jeden rok!...
Przed nami...
Hej! hej! wielki bujny łan...
Tylko chęci, pracy...
Kreślmy czynów plan...
W oświacie i w zgodzie
Pójdziem raźno w zwyż...
O! roku ty nowy...
Szczęście do nas zbliż.

Jadwiga S.

DWIE WILIE.

Obrazek

na tle bohaterskich dziejów Stefana Czarnieckiego.

„Jam nie z soli, ani roli,
ale z tego, co mnie boli..."

I.

W Czarńcy.

We Wilią Bożego Narodzenia 1658 roku gwarno było we wsi Czarńcy, w rodzinnem gnieździe Czarnieckich, położonej w województwie sandomierskiem.

Pani Zofia Czarniecka podejmowała u siebie liczne grono rodziny najbliższej, którą smutne wypadki kraju ciężko dotknęły i pod dach jej zawiodły.

Szukały one gościnnej opieki dworu w Czarńcy, tem więcej, że odjeżdżający na wyprawę do Danii wojewoda Czarniecki pozostawił tu straż z kilkunastu zbrojnych złożoną, która dobytku pani Czarnieckiej strzedz miała.

Czasy to były niepewne, zamętu pełne.

Wprawdzie Szwed wygnany już był za ostatnią granicę, podobnież i Rakoczy, siedmiogrodzki książę, ale w czasie ogólnego zamętu i rozprzężenia, gdzie trudno było o dochodzenie sprawiedliwości, niemało namnożyło się niegodziwców, co w mętnej wodzie ryb szukać zwykli, nie poprzestając na

tem, że Szwed niczego nie poszanował, rzucali się na mienie tych, co w nieszczęściu ocaleli.

Od czasu do czasu słychać też było o jakiejś rozbójniczej bandzie, łupiącej dwory lub kościoły bez miłosierdzia.

Gośćmi pani Czarnieckiej były przeważnie kobiety, jej siostry, pani miecznikowa Zamojska i pani sędzina Piotrowska z dorosłemi już córkami z Sieradzkiego. Mężowie ich za Ojczyznę ze Szwedami polegli śmiercią chwalebną. Prócz nich bawiła gościną pani Stanisławowa Czarniecka, bratowa, z nieletnimi synami, której mąż, rodzony brat pana Stefana, jeszcze dawniej w bitwie z Moskwą życie położył.

Ciężkie koleje losu wybiły piętno na twarzach tych kobiet, ubranych w szaty wdowie. Ale nieszczęście swe mężnie znosiły, a spojrzenie ich się rozjaśniało, ilekroć skierowało się na ukochane dzieci.

A było się czemu przypatrzeć i wzrok rozjaśnić. Chłopcy, acz niedorostki, rwą się do czynu i o tem jedynie marzą, aby rycerzami być.

Oto właśnie kołem otoczyli pana Adama Gniewosza, wojownika sędziwego, który pół życia u boku Czarnieckiego przewalczył, a któremu dziś tylko rany nie dozwoliły, aby biegł za nim do Danii. Więc został w Czarńcy, by dzielić dolę rodziny swego przyjaciela, którą ukochał, jak swoję — bo swojej nie miał.

Chłopcy się doń garną, bo pan Adam codzień to inne przygody wojenne prawi. Oddech zapierają w sobie, a słuchają. O! gdyby raz już być na wojnie!

Dziewczęta — hoże jak kaliny — oczy ciągną ku sobie. Choć wśród szczęku oręża wyrosłej — w dniach trwogi i zamieszek — bije od nich blask młodości wierzącej, że będzie lepiej i odwaga jakaś, która zdaje się przemawiać:

— Matki drogie! nie lękajcie się o nas, wytrzymamy wszystko i zniesiemy, bośmy do boju i trudu, tak jak wy, przywykłe i złe nam nie dziwne.

Zwłaszcza Oleńka, córka bohatera wielkiego, uderza postawą, rzekłbyś rycerską.

Smukła i silna, z warkoczami ciemnych włosów, ma rysy jakby rzeźbione, a gdy się uśmiechnie, lub zamyśli, to wyrazem twarzy ojca przypomina.

Ubiór na niej z błękitnego sukna, kunami przybrany, na szyi sznurki bursztynowych paciorków i takież zauszniczki — dar ojca.

Podobnież ubrana Konstancya, siostra jej młodsza (wierny obraz matki), o włosach jasnych, twarzy uśmiechniętej, zdaje się rej wodzić między rówieśnicami.

Młode grono zajęte było właśnie klejeniem tak zwanego „świata“ z opłatków różnokolorowych. Która najzręczniej ze zadania się wywiąże, tej „świat“ zawiśnie nad stołem wigilijnym.

— A teraz, moje kochane — mówi Kostusia, odkładając robotę — róbcie i kończcie same, bo my z Oleńką musimy zająć się przygotowaniem stołu, do wigilnej wieczerzy — i wziąwszy się za ręce społem wybiegły.

W komnacie zostały młode dziewczęta z matkami i pan Adam, otoczony jak zwykle chłopcami, wsłuchanymi w jego opowieść.

Zacisznie tu było. Za żelazną kratą, w misterne wzory rzeźbioną, płonął jasny ogień na kominku, miłem ciepłem komnatę napełniając. Gdzie spojrzeć, ściany pokryte cennymi kobiercami perskimi i tureckimi, pułap rzeźbiony połyskuje złotem — a zachodzące słońce, łamiąc się w drobnych szybach, ożywia cudne barwy, ukryte w makatach.

Inne nakrycia i obicia sprzętów są częścią roboty pani Czarnieckiej i córek, częścią spuścizną po prababkach, na które robota w krosnach i piękny wypukły haft się złożyły.

Na jednym z małych stolików, okrytym serwetą z siatki jedwabnej w różnokolorowe wyszywane ptaszki i kwiatki, widać świeżo porzuconą lutnię na różowej wstędze i rozkwitłą gałązkę wiśni w szklance ze szkła zielonego. Ponad stolikiem rysuje się ciemny medalion, wyobrażający rysy wielkiego bohatera Czarnieckiego.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — usłyszano od progu i w komnacie ukazał się staruszek, ksiądz proboszcz, witając zgromadzonych, wzajem z radością i czcią witany.

Postać ks. Michała zrosła się już z dziejami Czarńcy tak, że obecność jego nieodzowną tam była we wszystkich ważniejszych chwilach i uroczystościach, a więc i przy zbliżającej się wilii.

Zacny ten kapłan brał udział serdeczny i głęboki w losach rodziny, skarbiąc sobie jej miłość i wdzięczność.

— A cóż, smyki — mówił ks. Michał, zwracając się do chłopców. — Jakże tam łacina idzie? Podobno nie tęgo, z szablą lepiej? nieprawdaż? — ciągnął, zwracając się do p. Adama.

— A!... prawda! księże kanoniku — mówi pan Adam. — Algebra, łacina w kąt... jeno ustawicznie rwie się to do broni... do strzelby — na koń, a prosi, by jeno mógł który przymierzyć choćby tej zbroi, co wisi w komnacie pana wojewody... Kiełbiki jakieś... niedorostki — a od zbroi jeszcze zasię — a do książek napędzam... gdzie tam!

Śmiał się ks. proboszcz.

— Dobrze, dobrze, zuchy — mówił — niech się ćwiczą, a szabli nie obawiają i na rycerzy sposobią, ale niech wiedzą, że się uczyć trzeba! Kto się uczy, a więcej umie i dużo nauczy, ten lepiej ziemi rodzinnej się przysłuży kiedyś i tem więcej kochać ją będzie... tak, chłopcy kochane!

— Ale, proszę księdza kanonika jegomości — odzywa się nagle jeden z nich — mybyśmy dziś na Szweda lub Moskala lecieli, a mścili... Nam Moskal ojca straszliwie zamordował! — Tu się chłopak aż zaczerwienił. — Mama codzień płacze, smutna taka — a ja już strzelać umiem, konie prowadzić potrafię. Jużbym dziś leciał a siekł...

— I ja też... i ja tak samo...

— A ja co gorszego? — ozwały się młode głosy naokół.

Aż ich pan Adam do porządku nawoływać musiał, a ksiądz proboszcz dorzucił:

— Tak, dzieci drogie, i na to czas przyjdzie — i może wam przyjdzie pomścić zniewagę naszych kościołów, nasze krzywdy i bóle odpłacić.

— Ale wam, kochani, w siły jeszcze róść potrzeba, a słuchać i uczyć się dużo należy...

— Panie Adamie! wy, coście życie całe na wojnach z panem Czarnieckim strawili... powiedzcie, czy to tak łatwo potykać się z wrogiem?

— Łatwo temu, kto do słuchania nawykł, a karny jest — kto wie, że słuchać musi, a nie rezonuje i światu wygraża, ale murem przy swym dowódzcy stoi, kto zbyt swym siłom nie ufa, ale zgodnie idzie tam, gdzie go wprawna i doświadczona prowadzi ręka!

— O! takiemu dobrze, ten nie dla igraszki złączył się w szeregi, ten nie zlekceważy świętej sprawy, ani się obrazi, ani obrażony w zarozumieniu swem zdrajcą nie zostanie — ten nie będzie Opalińskim, ani Radziejowskim, ten będzie wiernie stał na straży dobrej sprawy i będzie tak wierny, tak wytrwały i cierpliwy i nieznużony, jak nasz wojewoda, sławny Czarniecki, który zanim wojewodą został, długie lata w rycerskich szeregach służyć a słuchać musiał — a więc i rozkazywać się nauczył i urósł z tego, co go bolało...

— Czy i wy tacy będziecie?

— Będziemy! będziemy! — ozwali się chłopcy gromko. — Da Bóg będziemy!

— Amen — dorzucił ksiądz proboszcz.

W tejże chwili uchyliły się podwoje i śmiało a buńczucznie wsunęło się kilkunastu dziarskiej młodzieży.

Wszyscy oni z domów szlacheckich, a po gęstych minach, po rysach poczerniałych od wichrów i deszczów, po zuchowatej postawie i ruchach poznać nietrudno, że to młodzież do miecza stworzona, a w wojskowym rynsztunku wzrosła i wychowana. Była to ta siła zbrojna, którą pan Czarniecki na straży domu zostawił.

Wiedział wojewoda, kogo zostawił i dobrze wybrał.

Nie ladaby to były siły, coby tych zuchów zmogły.

Posunęli oni wszyscy w stronę p. Czarnieckiej, nizko się kłaniając i w rękę całując, podobnież witając i inne panie w komnacie.

Aż się gwarno zrobiło i rojno. I nie dziw. Od młodzieży bije zapał, co posiwiałych odmładza.

— Cięte chłopcy, niczego — mówi ksiądz proboszcz do pani Czarnieckiej. — Już to pan wojewoda dobrą ma szkołę; chłopaki wstydu mu nie uczynią... Czarniecczyki prawdziwe, takie to rzutne i zjeść się w kaszy nie da. Proszę tylko spojrzeć, jak to wre w tem i kipi. Ot, pan Jan Zalewski ręką wąsa szarpie, a drugą niecierpliwie ściska rękojeść karabeli, jakby napad na wroga kartował.

Jakaż radość brała patrzeć na tę młodzież, której niewczasy a trud niedziwne.

Ku nim też często zwracają się oczy pani Czarnieckiej. Wszak to uczniowie męża jej, bohatera?

Wśród szczęku oręża wzrośli, a przenika ich ten zapał i miłość dla ziemi, jaka bije od wodza.

Nie dały mu nieba syna, ale dozwoliły, że tysiące powiódł młodzieży za sobą i przejął mężnym duchem.

Już i wieczór zapadał, a kula czerwona słońca zniżała się za lasy i bory — więc z komnaty wysunęła się pani Czarniecka, by spojrzeć, co Oleńka z siostrą przysposobiły.

Tymczasem dziewczęta w sali jadalnej raźno się zwijały. — Sala ta należała do największych w domu Czarnieckich, bo taką z dawien dawna była, aby wygodnie i należycie setki gości pomieścić mogła.

Na środku stał stół długi, dębowy, przykryty makatem. Wzdłuż ścian okrytych kilimkami stały szafy szerokie, dębowe, kolorowem płótnem, by firankami przykryte, a w nich chowano rodzinne, dawne srebra stołowe. Na jednej ze ścian wisiał obraz wojewody Czarnieckiego w suto złoconych ramach.

Mąż hartowny, w zbroję zakuty, na swym rumaku tak tam wyglądał, jakby go żadne moce ziemskie zwalczyć nie mogły. Postać ta ciągnęła oczy ku sobie i siłą orlego wzroku do siebie skuwała. Jakiś wyraz nieugiętego hartu i stanowczości okolił usta, a cała postawa tchnęła tą szlachetnością, która serca ludzkie pociągać umie.

Piękny, rzeźbiony świecznik wisiał u stropu, dar krakowskich rzeźbiarzy, uwielbiających bohatera.

Wyobrażał łódź (herbowy znak Czarnieckich) podpartą delfinami, w paszczach tkwiły świece, a nad okrętem i masztem unosiła się postać Matki Boskiej.

Dziewczęta żywo się krzątały.

Na miękkim makacie, co stół przykrywał, rozścielały siano, które służebna w koszu przyniosła. Następnie przykryły śnieżnym obrusem tak zręcznie, iż leżał na stole gładki i wyprostowany zupełnie. Dalej otwierano szafy i z pomocą służby, a pod kierunkiem Oleńki zastawiano srebra do wigilijnej uczty.

Robota szła składnie. Snać to nie pierwszy raz córki domu tem się zajmują, bo wiedzą o każdym szczególe.

Kostusia ostrożnie wyjmuje z futerałów kubki kryształowe w srebro oprawne, a Oleńka z drugimi konfekta i słodycze różne umieszcza na stole.

Już i strucle, wielkości niezwykłej, tamże spoczęły i jabłka przygotowane i świeczniki ustawione.

W łagodnym blasku świec miga srebro stołowe misternie cyzelowane, czerwienią się jabłka, błyskają we flaszkach przeźroczyste likwory i wódki domowego wyrobu.

Nie zapomniano o niczem.

Zajęcie wycisnęło rumieńce na twarzach panien i ani się spostrzegły, jak słońce zapadło a gwiazdy zabłysły.

W tej właśnie chwili ukazała się na progu pani Czarniecka.

Podbiegły z radością córki ku matce.

— Mateńko, czy dobrze? A możeby przestawić te dwie misy? a tę flaszę tam posunąć? radziły.

Uśmiechała się matka i głową skinęła.

— Dobrze, dobrze, dziewczęta kochane... już ja wiem, że na was spuścić się mogę, — przygarnęła je do siebie ze wzruszeniem...

W tejże chwili otwarły się drzwi z pośpiechem i wsunęła się staruszka krzepka, miła, o ruchach prędkich a żywych.

Jednym rzutem oka objęła stół nakryty — zastawę i badawcze spojrzenie zapuściła wokoło.

— A to co? nagle powie, zwracając się do panien Czarnieckich. Oleńko, Kostusiu! już do stołu zasiąść się godzi, a zboża snopki gdzie? Cóż to? Czy to już może nowy jaki obyczaj? modny? O konfektach, przyprawach jabłkach nie zapomniały, — ale o ojcowskim dawnym obyczaju ani która wspomniała!...

— Ej panny... nie godzi się Boga obrażać. Bo Szwed siła chleba naniszczył, więc nam o chlebie myśleć, a pamiętać należy... pospiesznie mówiła staruszka — nieco zaperzona.

Obie panny Czarnieckie rzuciły się ku niej:

— Nie gniewaj się, Wolińsiu droga — nic złego nie miałyśmy na myśli — ot! przepomniałyśmy — prosiły, całując ręce staruszki... a jak dzisiaj, będziecie się na nas gniewali we wilią, to przez cały rok to samo dziać się będzie.

— No! dobrze! dobrze... śmiała się już pani Wolska.

Ona im po matce pierwszą była.

Niegdyś ochmistrzyni ich matki, a potem ich obu, pani Wolska Barbara przybyła z młodą panią Czarniecką w progi Czarńcy zaraz po jej weselu i od tej chwili dzieliła się dolą i niedolą swej pani i jej dom pokochała, i dzieci wspierała czynem i słowem, i życie by za nią oddała, a Oleńka i Konstancya słuchać ją nawykły i kochać.

Wnet też, dla udobruchania staruszki, po snopku różnego zboża w kątach sali ustawiono i wieczerza zacząć się mogła. Jakoż się i zaczęła.

Ksiądz proboszcz wzniósłszy ręce nad stołem, modlił się i błogosławił Boże dary Cicho i w skupieniu stało grono gości i domowników i tylko półgłosem odmawiana modlitwa ciszę tę przerywała.

Przystąpiła bliżej pani wojewodzina ku ks. Michałowi najpierw i podała opłatek; potem posunęła się dalej, a łamiąc z każdym, życzenia serdeczne dawała i przyjmowała. Aż ruch powstał w sali.

Obie córki do rąk matki przypadły, potem do kolan się pochyliły... od wzruszenia mówić nie mogąc, ona na ich głowach ręce błogosławiące złożyła.

Wtem pani Wolska znak jakiś dała i drzwi uchylono.

I oto do sali wsunął się z pokłonem długi szereg tych, co pani wiernie służyli i dobytek pracą pilną mnożyli. A pani wojewodzina przystępowała do każdego z nich, żadnego nie pominęła, każdemu dobre słówko rzuciła i życzeniem darzyła. Za nią w ślady obie córki szły i to samo czyniły, co matka.

I zbliżyły się serca do serc i żywiej uderzyły w ten wieczór cudów pełen, w tę chwilę, gdy Bóg z swego królestwa zstąpił na ziemię i w nędznej zamieszkał stajence. Czemużby i ludzie nie mieli się zbliżyć ku sobie i w tem zjednoczeniu odczuć, że równi wszyscy w obliczu Boga?

Zabiły serca żywiej, zapomniano uraz, win, żalów.

Dobroć, ludzkość, sprawiedliwość przyrosły już od wieków do węgłów i podwalin szlacheckiego domu w Czarńcy i żyły tradycyą, z potomka na potomka przechodząc bez zmiany.

Wichry i burze przelatywały po kraju, król za królem kładł się do grobu, zmieniały obyczaje na dworach królewskich i z pańskich, a cudzoziemskie prądy nieraz do stolicy się wkradały.

Szlachecki, stary dom w ciszy wiejskiej ukryty, chował cnoty rodzinne, jako pamiątkę

najcenniejszą, która się burzom i zalewom wszelakim opierała i oparła, a w najstraszniejszych zamętach zachwiać się i wyrugować nie dała.

Na bój, na niewczasy biegli z tych domów mężowie i bracia, głowę kładąc za ziemię rodzinną. Ale w domu zostawały matki, co obyczaj domowy chowały, a dzieciom pamięć dzielnych ojców przypominały.

Przy wigilijnym stole cisza zaległa.

Starszym dawne przypomniały się chwile, więc cofnęli się myślą wstecz i milczeli.

Młodszym nie godziło się podnosić głosu. Przytem ścisły post dzień cały zachowywany, niemało na tę ciszę wpłynął. — Dopiero kiedy już i migdałowa i rybna zupa minęły, a dania jedno za drugiem zmieniać się poczęły, przy stole ożywiło się i coraz gwarniej czyniło.

Z zadowoleniem patrzyła na tę zmianę pani Czarniecka, zwłaszcza gdy widziała, jak wygłodzona postem młodzież szczerze i ochoczo do mis się zabiera. Cieszyła ta ochota panią domu, więc też serdecznie i prosiła i zachęcała; radowała się pani Wolska, bo wszystkie dania w tradycyjnym odbywały się porządku i wedle jej przepisu sporządzane były.

Podawano też ryby w coraz to innej postaci, to smażone, to bez kropli wody umiejętnie duszone, inne z miodownikiem, rodzenkami i figami, inne nadziewane, to w przedziwne kółka i essy przeistoczone, do czego podano podlewy migdałowe i grzybowe, korzeniami silnie przyprawne.

Pan Adam Gniewosz nie mógł dość nachwalić się szczupaka, w żółtej zaprawie zanurzonego.

— Już to w przyprawie ryb Polacy wszystkie narody przeszli — mówił.

Pani Wolska zachęcała przytem do czerwonej i białej kapusty kwaszonej, którą przedziwnie jabłkami, selerem, grochem i jajami zaprawić umiała. Znany to był z dawien dawna kunszt pani Wolskiej, a młodzieży zwłaszcza ulubiony.

To też pochlebiało jej i z prawdziwem zadowoleniem spoglądała na zuchów młodych, żwawo wypróżniających talerze i kubki.

Chwalono sobie przytem wystałe piwo wareckie, również rodzinne wina białe i czerwone z sandomierskiej okolicy — i domowe nalewki.

Uznaniem pań zwłaszcza cieszyły się podane na wety pierniczki, smakiem sławne norymberskie przechodzące.

Zaś mężczyźni więcej do różnego rodzaju serków się kwapili, popijając je piwem.

Nikt jednak nie zapomniał sięgnąć po piękne jabłka i gruszki z domowego sadu pochodzące, które tak wybornym odznaczały się smakiem, że wobec tego nie bardzo chciało się próbować zagranicznych fig i rodzenków. — Ale prawdziwe zdumienie wywołał widok śliw, okrytych barwą niebieską — jakby co dopiero zerwanych, które pani Wolska na ostatnią zachowała chwilę. — Była to również jedna z jej tajemnic gospodarskich, że je tak świeżo aż dotąd zachować umiała.

Gwarno już teraz i rojno było przy stole, zwłaszcza na końcu szarym, a ilekroć ktoś ze starszych głos zabierał, młodzież milkła, ust nie śmiejąc poruszyć.

Mówiono wiele: o biednym zniszczonym wojną kraju, o królu i królowej, o zwycięstwach i cnocie wojewody Czarnieckiego. — Właśnie jeden z husaryi Czarnieckiego, pan Jan Zalewski tak prawił:

— Będąc przy boku imci pana wojewody niejedno się widziało i poznało. Królowa — mówił — Marya Ludwika, rycerskiego serca kobieta, poznała się na cnocie pana Czarnieckiego. Toż samo król jegomość — czczą oni i wielbią bohatera wielkiego i mówią: nie masz mu równego. Kiedyśmy królową panią podczas szwedzkiego najazdu z Częstochowy do Gdańska wiedli pod osłoną imci pana Czarnieckiego, tośmy widzieli, jakim mirem darzyła Marya Ludwika wojewodę. — A król jegomość jakiem okiem nań spoglądał, gdyśmy mimo ogni i zasadzek szwedzkich do Gdańska się dobrali i króla Jana Kazi-

mierza stamtąd uprowadzili, boć go Szwedzi w oblężeniu trzymali. Król jegomość zwykł powtarzać:

— Nie masz, nie masz, jak nasz rycerski wojewoda.

Płoniły się radością lica córek, twarz pani Czarnieckiej przybladła ze wzruszenia.

Słuchała młódź z zajęciem opowiadania, słuchał pan Adam, szarpiąc wąsa niecierpliwie, co było zawsze u niego oznaką wzruszenia. Szarpał wąsa, a wzrok w dal puścił, jakby dalekie ścigał obrazy...

Oleńka, która starego wojownika ulubienicą była, dostrzegła snać zmiany, bo pyta:

— Panie Adamie! wspomnieliście dawne czasy i ojca naszego drogiego... nieprawdaż? gdzież on w tej chwili? gdzie?

— Gdzie? miła panno Aleksandro, a gdzieżby był? Na swym koniku harcuje, śniegi, lody przebija, ku morzu pędzi — może je wpław przebywa? Oj! co już u niego, u tego pana hartownego, to nic trudnego — byle wroga dopaść, ukąsić bodaj kawałeczek użreć. — Któż o tem lepiej wie odemnie?

Może król jegomość chwalić cnoty rycerskie pana wojewody, może świat mu się dziwować. Któż jednak lepiej odemnie powiedzieć może, co zacz to pan? Od lat dwudziestu przeszło ja do niego przywykł i losy jego dzielił...

Z Moskwą i Kozakami jeszcze za nieboszczyka króla jegomości Władysława IV z Tatarami jam z nim hulał... niewolą po żółtowódzkiej klęsce dzielił i jak pies wierny z nim wracałem... Pod Beresteczkiem byliśmy i zwyciężyli, znów na Ukrainę gnali. Tam kula pod Monasterzyskami panu Stefanowi podniebienie wyrwała. Nie jęknął nawet, jeno, przytomność odzyskawszy, pytał: „Czy miasto wzięte?“

Wichrem gnaliśmy po polach i stepach, bez spoczynku, bez jednej nocy spokoju, szarpiąc nieprzyjaciela.

Hart był w panu taki, że nie ustał nigdy, że był nieugięty, mocny, jak skała. Ugodzony pod miasteczkiem Buszą w nogę kulą, ni się zatrzyma, ni skrzywi, ale tem zażarciej uderza i dobywa miasta.

Tu się pan Adam zatrzymał.

— Mówcie, mówcie, prosimy — ozwały się młode głosy — prosimy, jeżeli łaska...

Więc pan Adam znów w dał się zapatrzy i prawi:

— Nadciągnęła burza od północy i spadła szarańcza szwedzka na kraj udręczony; oddali możni panowie kraj w ręce Szweda... zdradzili... i Szwed jak piorun do Warszawy wpadł — gospodaruje!

Jeden pan Czarniecki z garścią rycerzy pod Piątkiem się sadowi i odrazu 500 Szwedów trupem kładzie. Trzeba było widzieć, jak się rozpogodził, gdy mówił: „Mospanie! to Szwedziki — nie Szwedy!“ — Więc otucha i nadzieja wstępować zaczęła, choć panowie do Szweda przystali, a króla nie było już w kraju.

8-go września 1655-go r. wziął Szwed Warszawę, a 26-go września był już pod Krakowem, ale w Krakowie zastał pana Czarnieckiego komendantem. — Kulka szwedzka twarz mu zraniła — ale z konia nie szedł, a na drugi dzień ukazawszy się na rynku, otuchę lał w serca, że chłopięta krakowskie kule rzucone od Szwedów puszkarzom znosili, by mieli czem razić wroga...

Ale kraj cały już w rękach nieprzyjaciela.

— — — — — — — — — —

I zlitowała się Matka Boska Częstochowska nad nami, nad naszą tułaczką i cud uczyniła, a odtąd i wiara się wskrzesiła, obudził lud z uśpienia. — Zrzucić to jarzmo, zmazać hańbę, to było hasło, co przeleciało po ziemi; pomścić zniewagę kościołów i mienia, wygnać precz najezdnika... Poczęło się też, poczęło wtedy hulanie! Szwed tu panem i w wojsko i pieniądze zrabowane bogaty, nie mam mu jako stanąć do otwartego boju — szarpać i kąsać można; więc szarpiemy i kłójemy... Milczkiem suniemy, a chyłkiem.

Już jednej godziny nie masz odtąd spokoju. Od Jarosławia do Sandomierza, do Gniezna, do Częstochowy i Gdańska i znów

z powrotem. Z pod Płocka w dwóch dniach i jednej nocy 48 mil zrobiliśmy i do Gdańska dobili, by zeń króla oswobodzić.

— — — — — — — — — —

E! co tam mówić!...

Patrzyliśmy, wierna drużyna, na pana dowódzcę. jak na archanioła Michała, a szli za nim lekko, gdziekolwiek chciał. Taka już w nim moc była, żeśmy do niego lgnęli i oddali się...

Bywa czasem, wiatr wyje, smaga deszczem; suniemy w zasadzkę cały dzień o głodzie i pan Stefan niczego nie próbuje. Myślicie? mkruknie który z nas — zżymnie się? Patrzy... pan przodem nas wiedzie i taki pewny dobrego. — Krótka chwila, już i strzelanina się poczęła już i nieprzyjaciel jak zając pierzcha. Więc wracamy. Od pana kasztelana niby promienie biją jasne, taki dumny a dobry!

Tu pan Adam przestał.

W jadalni cicho było, jak makiem siał. U stropu chwiał się lekko „świat“ z opłatków, pryskała świeca czasem w lichtarzu.

Mąż hartowny w zbroi na obrazie tak wyglądał, jakby żył, pobłyskiwał pancerzem, orlim wzrokiem gonił wroga, zda się za miecz sięgał.

— — — — — — — — — —

— I wy mówicie, panie Janie, że król cnoty wojewody chwali i świat mu się dziwi?... ciągnął dalej pan Adam. — A czemuż, czemuż nie odda mu buławy w żelazną prawicę, czemu dostojeństwa tego nie powierzy temu, który królowi ziemię, spokój oddał, a własne szczęście i życie poświęcił?

Oj! nie dziwię wam się, Oleńko, żeście za ojcem do Danii biedz chcieli i wyrywali, a płakali — z ojcem rozłączyć się nie mogąc...

Jabym za nim dziś bieżał i animuszu wojennego zażywał, gdyby nie to nieszczęsne kalectwo...

— Ej! panie Adamie, ozwie się pani Wolska, nie buntujcie Oleńki... Nauczyliście ją bronią władać, z krucicy strzelać i tym podobne figle pokazywać, a pomnijcie na to, że i my kobiety w myszą dziurę nie wchodzimy, ani lamentujemy, ale po swojemu wojujemy... Czy zliczylibyście te dni trwogi i czekania, jakie pani Czarniecka przeniosła aż dotąd?

Pan wojewoda na wojaczce, a pani Zofia nie wie, gdzie się pan obraca. Mijają miesiące, lata i pani sama z paniętami czeka i modli się o cierpliwość.

Wpadnieli pan nasz ukochany na chwilę pod własny dach, jak piorun — oho! już posły — już znaki — już trąbka do odwrotu przygrywa — ruszaj — ruszaj znowu w świat daleki, idź, potykaj się, a bij...

Pani sama zostaje... dzieci ciśnie do siebie i modli się i czeka.

O! nie wam, wojakom, o tem mówić, co nam piersi rozsadza! A powiedzcie, panie Adamie, widzieliście kiedy nas, baby płaczące, lub narzekające nawet wtedy gdy najezdnik jak sęp okrążał domostwo i czyhał?.. Widzicie więc... pan za górami i morzami krew przelewa, a w polskiej niewieście animusz rycerski żyje, choć na wojnie nie była.

Widzieliście Oleńkę, jak za ojcem na wyprawę się rwała — a któż ją w hart uzbroił?... Któż ją taką uczynił — jeśli nie matka — jeśli nie nasza ukochana pani Czarniecka?

I powstała sędziwa pani Wolska, drżąc nieco i zbliżyła się ku pani wojewodzinie, ręce wyciągając.

I pospieszyli z nią goście i domownicy, by hołd złożyć tej, co strzegła domowych progów tak święcie, jak strzegł granic Ojczyzny mąż jej, bohater, Czarniecki.

We dwie godziny potem, drogą, prowadzącą do kościoła, sunęło liczne towarzystwo zo dworu. Czas był mroźny, lecz piękny, dzwon w wiejskiej ciszy zwoływał, więc kto żyw, to spieszył, by mszy św. pasterskiej wysłuchać.

Widniały już zdala wysokie, wązkie okna kościółka i przeświecały światłem. Dalej niż blask świątyni biegł głos donośny dzwonów, przenikał mroźne powietrze grudniowej nocy, ku gwiazdom wzlatywał i chaty nizkie przenikał.

Około wrót kościelnych ciasno, że się ani

przecisnąć. A oto nagle fala ludu się rozstąpiła, bo na progu ukazała się pani Czarniecka z córkami i gośćmi, i po krótkiej modlitwie u stóp ołtarza ku swej podążyła ławce.

W kościele jasno od świateł, a pełno od ludzkich głów. Lud wpatrzony w cichą ofiarę modli się żarliwie. Oto spełnia się przepowiednia odwieczna, oto Pan i Bóg na ziemię zstępuje. Oto król stworzenia objawia się i obiera na mieszkanie nędzną stajenkę, witany najprzód przez pastuszków, których aniołowie do niego prowadzą. Prawie że słychać szum tych skrzydeł anielskich w powietrzu i ich głosy melodyjne, nucące: Pokój ludziom dobrej woli!

Ksiądz od ołtarza pierwszą miłą kolendę rozpoczął. Huknął lud zebrany z całych piersi, za pleśnią starca pospieszył. I spłynęła rzewna nuta kolendy i przeniknęła mury kościółka.

Jakżeto dobrze módz zaśpiewać tę pieśń kochaną i znaną od dzieciństwa! Niejednemu łzą oko zajdzie, a śpiewa, bo mu wtedy na sercu lżej i zda się, że nutą swą zlewa się z niewidzialnym chórem Aniołów.

Płynie więc pieśń dawna kolędy, a serca od niej miękną.

Oto pani Czarniecka, ta, co dotąd tak pogodną i spokojną była, pochyliła twarz, po której łzy płynęły.

— Kiedyż, kiedy doczeka ona tej chwili, że po dniach walk krwawych i trudach odpocznie ten, co nigdy nie znał spoczynku?

Któż wie, czy w tej właśnie chwili mąż jej zdrów? czy zdrów?

— Dla Ojczyzny się poświęcił, może kędy zginie sam? Któż mu oczy zamknie? Jedyną jej ucieczką, ten ołtarz, ten kościół, ręką bohatera w Czarńcy wzniony.

Tu składa ona smutki i swe pociechy czerpie. Silniej zacisnęły się ręce kobiety modlącej. Prosi ona Boga o męztwo, moc i siły bo to czasy złe, zamętu pełne, a głos wewnętrzny mówi, że długo błagać Boga trzeba.

Oczy córek na twarzy matczynej spoczęły i zrozumiały ją, bo znać o to samo się modlą.

— Gdzie ojciec ich w tej chwili? Gdzie ci rycerze, co z nim w dalekie nadmorskie poszli kraje? Gdzie oni?

Pieśń cichła, aż rozwiała się pod sklepieniem.

Ponad głowy pochylonych wyciąga starzec sędziwy ręce i ogarnąwszy zebranych wzrokiem, tak się od ołtarza odzywa:

„Teraz... drodzy moi... za tych, co tej ziemi sponiewieranej pilnują, bronili, lub bronią, za tych, co tam kędyś w śniegi północne i wichry aż nad same morze się zagnali z przezacnym wodzem Czarnieckim, za tych wszystkich dzielnych Czarniecczyków i króla udręczonego pomódlcie się, by im Pan Najwyższy szczęśliwy powrót do swej ziemi zapewnić raczył!“

II.

Pod murami Koldyngi.

W tę samę wilią Bożego Narodzenia 1658-go Czarniecki po swej przeprawie morskiej i zdobyciu wyspy Alson, powrócił znów do Jutlandyi i stanął obozem pod miastem Aarhus. Obóz ściśniętem półkolem wrzynał się w ciemną płachtę lasu, którego głębie rozjaśniały błyski ognisk, podniecane silnym podmuchem mroźnego, północnego wichru.

Bór był stary a gęsty; więc mężnie stawiał czoło wichurze. Wysoka jedlica gięła i znów prostowała zielone swe głowy, miotana wichru falą niespokojną, co grała po nich pieśń bez końca i grzmiącą jak na olbrzymim organie.

Aż pnie grube trzeszczały.

U ich stóp jaskrawem światłem buchały ogniska. Słup ognia z trzaskiem i sykiem szedł w górę jasny, to opadał gorejącą wstążką ku ziemi, to pryskał tysiącem iskier.

W blasku świateł widać część rycerstwa. Zbrojna to drużyna. Hartowne, marsowate postacie tchną siłą żelazną i twardą jak te pancerze, w które się okuli. Wyraz woli i energii przyrósł do rysów żołnierzy. Ża-

dnego tam znużenia ni zniechęcenia nie ujrzysz. Po tylu walkach i ciężkim znoju i to dobre, jeśli na twardej ziemi, kołysani falą mroźną, przespać się mogą.

Czeladź nasiekła gałęzi jedliny koło ognia; pokładło się na nich wielu, gwarząc między sobą. Niejednego i sen zmorzył twardy.

Na dane hasło powstanie obóz cały i nigdy na nieprzygotowanych nie spadnie Szwed zdradziecki.

— Albож zresztą nie jest z nimi razem ten wódz ukochany, niezwalczony ten — o którego kulki i razy odbijają się bezskutecznie, nic mu złego nie czyniąc?

Zawsze czujny i nieznużony, a do korda pierwszy gotów w Imię Boskie i Ojczyzny. Zda się jasność i moc od niego bije i otacza kręgiem świetlistym, tak że go zawsze wszyscy żołnierze widzą, bo weń wierzą.

Jego zapał i męstwo tak ich natchnęły, że walczą lekko i szczęśliwie.

Domów własnych odbiegli...

Więc się i niejeden zamyślił i wzrok w głownie płonące wlepił. Może mu one rodzinne przypomniały ogniska?

— Teraz tam w Polsce, szwedzkimi napadami zniszczonej, święcą uroczystą chwilę Boskich Narodzin.

Ale w niejednym dworze, w niejednej chacie spustoszenie i żałoba. Niejeden tam może zapyta: „Gdzie swoi? Gdzie nasi? Kędy są? Czy żyją?“.

Tu mroźny wicher gasi im ogniska i w borze przyległym skargi zawodzi; tu ich niewczasz i trudy same czekają, tu im tylko myśleć można o wigilijnym wieczorze pod rodzinnym dachem — ale im nie smutno, bo wódz ukochany jest z nimi, bo z odwetem na wroga wybrał się tu kwiat najprzedniejszego rycerstwa.

Właśnie w obozie północ na trąbce odegrano.

Wzburzona fala wichru kładła się do spoczynku i cichła; rozwarły się chmury na niebie i wyszedł miesiąc okrągły i blady; gdzie spojrzeć — świat białym przysypany puchem, cichy, mroźny. Gdzieniegdzie tylko błyska światełko w zasypanej wiosce, zresztą ni śladu żywej istoty. Tylko straże nocne, pojedynkiem lub dwójkami na swych stanowiskach się luzują milcząco.

Nagle zadudni ziemia od kopyt końskich i z boru wysunie się galopujący jeździec.

— Hej! stój! — wołają pierwsze straże. Wymieniono hasła. Jeźdźca wpuszczono. Żołnierz prosto zmierza pod chorągiew kapitana Wąsowicza.

— Co tam?...

— W załamie leśnym — odpowiada goniec — koło parowu, przecwałował człek z dragonii szwedzkiej, spiąwszy konia ostrogami rów przesadził i chybko cwałem nadół podążył.

Wraz z drugiej części boru również szwedzkiego dostrzegłem jeźdźca.

Strzeliłem; strąciłem mu jeno ten kapalusz szeroki, który tu ot przynoszę...

Kapitan zaraz ku namiotowi wodza ruszył — a gdy wszedł, wnet trąbka alarmowa raźno zagrała.

Zda się cudem z nocnych cieni powstało wojsko zaklęte. Chwila mała, a już każdy na swem stanowisku gotowy.

Niezadługo nadbiega drugi jeździec, z podobną co pierwszy wiadomością.

Widocznie naokół kręcą się szpiegi szwedzkie. Kulbaczono już konia wojewody. Siwy zarżał niecierpliwie.

Nie upłynęło kwadransu, a już wyciągnął oddział chorągwi pod komendą kapitana Wąsowicza, za przednie straże mając kilkunastu z lekkiej jazdy Kozaków.

— Waszmość, panie bracie, mówił Czarniecki do kapitana, okrążysz bór od strony północnej z obu stron, a w danym razie poślesz sygnały do obozu. A więc żwawo, naprzód! w Imię Boże!...

Zadzwoniły i zgrzytnęły zbroje a miecze i znikli rycerze w szarej dali jak duchy.

Dzień rozjaśniał się już wyraźnie: uroczysty dzień Boskich Narodzin, który to wojewoda pragnął uczcić nabożeństwem. Któż wie jednak, co Szwed zdradziecki zamyśla? Może

chwilę ogólnej modlitwy na stosowną porę napadu obiera i na nią czeka?

Świt spłonął różowy cały i objął płomieniem białe śniegi. Krzyż na doraźnie wystawionej kapliczce zamigotał złotemi promieniami w słońcu i przypomniał rodzinne sioła i kościółki. Dziś oni, stojąc tu zbrojno, nie wiedzą, czy modły w spokoju odprawić będą mogli.

Wojewoda dosiadł swego ulubionego konia i często ku lasom spogląda, jakby oczekiwał czego. Zwierz ziemię ogniście kopytem orze, a głową piękną potrząsa, niecierpliwy jakiś, a dumny. Czyżby boju rychłego już się spodziewał.

Aliści od strony lasów padł jeden, drugi strzał z broni palnej. Na rozkaz więc Czarnieckiego pięć chorągwi z miejsca ruszyło. Lecz zaledwie naprzód się posunięto, natarła na nich ogniście szwedzka jazda, ufna w przeważającą swą siłę i niespodziany napad.

Choć spotkanie było nagłe z obu stron, Czarniecczyki, jakby żelaznym zwarci łańcuchem, tak ostro stawili się wrogowi, że ten jedynie zręczną ucieczką ratować się musiał i uciekał, co sił starczyło.

Napaść ta szwedzka niespodziana w dzień biały i święto wielkie, nieco za śmiałą zdała się wojewodzie. Pomnożywszy więc swe siły zbrojne oddziałami husaryi polskiej, mając przytem do pomocy podpułkownika niemieckiej dragonii Tedwina, ze swymi i trzystu jazdy kozaczej ruszył Czarniecki w ślady za uciekającymi. Mil parę jechał im na karkach.

Pogoń łatwą nie była. Konie ślizgały się i grzęzły w śniegu; tuman śniegu miótł w oczy jadącym, mroził członki i białym szronem odziewał.

Coraz szerszym stawał się horyzont, coraz ciemniejszem niebo, aż i zmrok zapadł i noc nastała. Naokół jednostajna bielizna śniegu, bez śladu życia jakiej istoty. Jeno od północy wichry niosą z sobą szumy zciszone i szepty. To oddech morza, a nad nim uśnieżone, wysokie widnieją wierzyczki i baszty twierdzy.

To miasto Koldynga, zajęte przez Szwedów, punkt ważny ich oparcia.

Uciekający Szwedzi rozpłynęli się w szarych mrokach nocy, jak cienie.

O dalszym pościgu mowy nie było.

— Trzeba noc w polu przepędzić, a rankiem wypłoszyć Szweda z murów, jak jaźwca z jamy — mówił wojewoda i skierował się nieco w bok pod lasy, a za nim cała zbrojna drużyna.

Wyszdł też wnet rozkaz od wodza, że wczesnym rankiem wyruszą na bój.

Rozkaz to niespodziany jak wszystkie niemal pomysły Czarnieckiego. Lecz nikt się temu nie dziwił.

— Choć armat, ni potrzebnej piechoty niema — mówiono — da Pan Bóg targniemy się na Koldyngę, zdobędziemy, choć nas na tę robotę garść tylko...

Od twierdzy powlokły się leniwo odbite godzin dwanaście i zapadły kędyś w morzu.

Po całodziennem znużeniu niejednego drzemka ujęła, więc, oparłszy się o grzywę konia i chrapał głośno.

Ale nad ranem ruch wielki wszczął się w obozie. Niezadługo na twierdzę uderzą, trzeba więc pierwej z sobą i Bogiem obrachunek uczynić! Wszak zawsze tak wojewoda przed bojem zaleca i sam pierwszy z grzechów swych się zwykł spowiadać i Boga o błogosławieństwo prosić. Między szeregami widna teraz postać księży Dąbrowskiego i Piekarskiego.

Jedni na bój się sposobią — drudzy już gotowi głowy odkryte chylą przed znakiem krzyża, Boga o przebaczenie za winy proszą, a kapłan ich silnem słowem zagrzewa do męztwa.

Te ciche, wielkie postacie schylone i korzące się przed majestatem Boskim w pokorze podobne do duchów.

Wreszcie księża rozpoczęli modlitwy; odpowiada im jednostajnie chór żołnierzy, co głowy swe wkrótce pod nieprzyjacielski miecz położą i nigdy już nigdy nie wrócą w strony ojczyste.

Hej! naprzód ogniście w imię drogiej ziemi! Wszak to dnie Boskich Narodzin!

Nie przeznaczono im dziś w domowych je święcić progach, ale sądzono im krwią własną spokój tamtych płacić — swoich...

A więc godzi się dzień ten uczcić przynajmniej pieśnią starą — kolendą. Więc gromko spłynęła z ust setnych nuta prosta a rzewna polskiej kolędy — popłynęła wartką falą przez puszcze borów ciemnych, biegła jasna i donośna wśród lodów i śniegów północy — niosła się echem dalekiem, wiary i zapału pełna – a wiatr ją od północy zimny pchał naprzód i naprzód, aż hen! w stronę południa – zapędził do kraju — co wraz jej dźwięki zrozumieć musiał — oj! musiał!

— — — — — — — — — —

Na twierdzę ruszono.

Świt czerwony malował baszty i mury zamczyska, błyskał krwawo po szybach — zapalał mosiężne gałki baszt i zlewał się ognistemi strugi po rynnach miedzianych

W blasku tym widać było twarze wychylających się Szwedów, tryumfujące, szyderskie i zaczepne — urągające rycerzom, co już tuż pod murami stanęli.

Drwiące ruchy Szwedów niecierpliwość budzą i niejednego dłoń już swędzi, aby się raz dorwać karku szwedzkiego.

Spoglądają więc na wodza.

Mąż hartowny, prawie sześćdziesiątki dobiegający, młodzieńcem im się być zdaje. Takim mu ogniem błyszczą źrenice — taki giętki i krzepki przed szeregami cwałuje, taką siłą i dźwiękiem brzmi rozkaz ostatni, gdy mówi: „Niechże was Bóg ma w swojej opiece i Imię Jego święte! Ruszajcież!

Skoczyli wszyscy wraz zwarci ciałem do siebie, jak puklerzem silnym — wśród pobudki trębaczy i okrzyków przeraźliwych:

„Naprzód! naprzód!...

„Jezus, Marya!...

Powitał ich grad kul od twierdzy. Niejeden w tej przeprawie jęknie, przewróci się, znacząc krwią po śniegu swój upadek. Lecz jęk konania ginie niepostrzeżenie wśród dzikiej wrzawy nacierających.

Podpółkownik Tedwin raz wraz walić każe w bramę okutą, a wielką, co się zda być niewzruszoną jak skała.

Inni wspinają się po murze do góry, kędy widnieją jakie okienka lub otwory i znów na dół padają, bo Szwedzi rażą z góry ogniście. Ale nic to nie wadzi, ani odwagi nie zmniejsza.

Jest w postawie tego wojownika moc nieludzka, wytrzymałość niezmordowana, odwaga lwia, czujność nieznużona.

Jest ta siła tak potężna, że i jej promienie mają moc cudowną, bo że jej wpływem prostuje się chwiejący żołnierz, mury pękają, rana przestaje boleć, nawet umierający jeszcze powstać usiłuje. Moc ta każdego z walczących Polaków bohaterem czyni, a serce rośnie z dumy, gdy widzi ten zapał...

Tak – to są jego mężne zuchy – ci by z nim i do wrót piekielnych szturmować byli gotowi.

To są jego dzielne dzieci — Czarniecczyki!

Bez armat, bez wszelkich figli oblężniczych, w ręku jeno siekierę dzierżąc, wrębują się do środka.

Jakoż wkrótce wrąbali się i wtargnęli na dziedziniec zamkowy.

Z drugiej strony podpułkownik Tedwin, choć gęsto ostrzeliwany naokół, nie ustępuje ze swego stanowiska około bramy.

Chwieją się wrzeciądze, drżą drzwi kute w posadach, ale praca nie idzie łatwo. Wreszcie skrzypiąc zważyły się ciężkie podwoje, zachwiały i runęły naprzód ze stukiem.

Wpadających do wnętrza przyjęli Szwedzi ogniem, stojąc murem naprzeciw bramy. Po pierwszym ogniu nacierająca dragonia wzięła na szable.

Zwarły się szeregi z sobą, poplątały i chyliły się głowy ludzkie, jak kłosy podcinane sierpami.

Zawrzała walka zacięta.

Rozpacz pchała Szwedów i stawiali się mężnie.

Istny dzień sądu!

Na wszystkich punktach zamku zamęt wiruje teraz straszny. Wrzaski, okrzyki, wystrzały mieszają się z odgłosem kotłów i trąb.

Już zamek dostał się w ręce Polaków.

Z baszty Szwedzi powiewają białą flagą na znak poddania i prośby o łaskę.

Nie tak to łatwo jednak powstrzymać dłonie, w których miecz krwi ludzkiej próbował.

Lawiną zniszczenia rozlali się zwycięzcy po zamku, śmierć niosąc za sobą, bo wojna, ta straszna władczyni, o srogie a krwawe woła ofiary.

Wtem łoskot potężniejszy od huku stu paszczęk działowych, nagły i druzgocący, wstrząsnął posadami twierdzy.

Znieruchomiały wyciągnięte prawice, zamilkły wrzaski i jęki, jak wryci stanęli żywi.

Za chwilę raz drugi ryk rozległ się jeszcze okropniejszy i mury zadrgały konwulsyjnie.

Jakaś olbrzymia siła, od ludzkiej stokroć potężniejsza, rwała się przez ciosowe mury i waląc z grzmotem sklepienia szła w górę.

Pękła jak granat baszta narożna, a wyniesione wysoko w powietrze gruzy wracały, padając w kłęby dymu, którym zionęła zawalona czeluść, grzebiąc w swem łonie świeże ofiary.

Dragon niemiecki przez nieostrożność zapalony lont w składy prochu rzucił i sprowadził ten gwałtowny wybuch.

Zginął w owem wysadzonem skrzydle zamku komendant twierdzy ze swymi — zginęło wiele ludzi z dragonii Tedwida i do trzydziestu Polaków.

Już odtąd nikt miecza nie podjął, już i chęć boju ostygła.

Na baszcie co ocalała zatknięto chorągiew polską.

Posłał Czarniecki po kapitana Wąsowicza i tak do niego prawi:

— Waszmość, panie bracie, zostaniesz tu ze swym oddziałem załogą, strzegąc miejsca tego i grzebiąc poległych, aż do najbliższych z obozu rozkazów. — A teraz czas już nam powracać.

Dały znak kotły i trąby, ruszono w drogę z powrotem.

II.

Trzy godziny bój tamten trwał tylko. Zwycięzcy, długim rozwinięci szlakiem, zdążali w stronę lasów. — Wojewoda jechał na przedzie. Za nim sznur rycerstwa, co w boju ocalał i mógł z serca pieśń zwycięstwa teraz zanucić i hart na dalsze boje prosić. Czas bo już było Panu podziękować za wyraźną opiekę i pomoc.

Więc na pniu dębu ściętego ołtarz wzniesiono polowy. Mróz był tak silny, że wino do ofiary potrzebne krzepło, a członki kostniały.

Lecz lód i znużenie obecnych topniało od gorącej modlitwy, która wzlatywała pod mroźne, pogodne niebo.

Bór gęsty szumiał naokół, na tle jego zielonych sztandarów jaśniał wizerunek N. Panny i uśmiechał się z ołtarza żołnierzom, wyraźnie błogosławiąc.

Ni oni mrozu, ni zmęczenia, ani głodu nie czuli już żadnego. Na czołach osiadła chęć dalszych poświęceń. Gdzieżby oni za swym ukochanym wodzem nie poszli? W jakieby kraje i boje nie ruszyli z tym świętym wizerunkiem Bogarodzicy?

— Te Deum laudamus — zaintonował hymn dziękczynny ksiądz Dąbrowski, a powtórzyły go setne piersi. Zadrżał las od pieśni potężnej, a serca żołnierzy od zapału.

Niejeden tam w twierdzy brata, ojca, druha wiernego zostawił we śnie wiecznym. Polegli dla dobrej sprawy, za Ojczyznę! I oni tak samo uczynią. I oni na miecz i kule gotowi, byle chwały i pomocy Ojczyźnie udręczonej przysporzyć — byle ją od zdrajców uwolnić na wieki...

— Ciebie Boże chwalimy — modlono się, na dalsze sposobiąc boje, a wzrok na wodza kierując...

Ten wiedział dobrze, co w sercach tych zuchów żyje.

Ale nie zwykł myśli swych w długie lub piękne ubierać słowa, więc gdy ostatnie echo pieśni tonęło w borze, rzekł krótko:

— Widziałem wasze męstwo, waszą krew rozlaną w imię świętej ziemi — waszą wytrwałość i ochotę. Więc ufam śmiele, że ze mną również ochoczo i dalej pójdziecie w imię Boga, ku chwale ziemi ojczystej!..

Huragan głosów zerwał się z piersi żołnierzy:

— „Niech żyje nasz wódz!" — płynęło wartką falą w stronę Czarnieckiego i kładło się u jego stóp, jak hołd uznania gorącego, obejmowało i ściskało wzruszeniem pierś bohatera w stal okutą.

Bóg mu pozwolił wzniecić ogień zapału w sercach ostudzonych lub zwątpiałych...

Dziś nad stokami, Bałtyku, nękać Szweda w jego obronnych twierdzach. Jutro bodaj gnać Moskala, lub za Kozactwem po stepach uganiając, Czarnego dobić się morza, wczasu nie zaznać, a wroga i zdrajców tępić. I tak zawsze, — zawsze, aż do ostatniego tchnienia!

A więc tak śmiało, naprzód, wytrwale i bez znużenia — aż do śmierci!

Z podniesioną głową, ze wzrokiem, co patrzył w przyszłość daleką, jechał wojewoda przodem, a żołnierze mu się dziwili, że ani o spoczynku, ani o napoju nie wspomni, jeno oddany swym myślom, puścił ulubionemu koniowi cugli i tak znieruchomiał w sobie. — Zda się i zwierzę moc swego pana przejęło, bo ani się obejrzy, ani dopomni posiłku.

Sine opony chmur rozwlokły się po niebie; pod kopytami koni śnieg chrzęszczy zmarznięty, a wichry północne dmą ostrą, przeciągłą pieśń, hulają między starymi pniami i pędzą na dół deszcz zmarzłych igiełek śniegu, które ciało lodową warstwą oblepiają, aż dech zamiera w człowieku.

Ale wojewoda tego nie czuje, nie widzi. Ni mróz, ni ogień, ni miecz ,dosięże tego wojownika. Jak stal hartowny on jest a mocny; nie ugnie się nigdy.

Drużyna ciągnęła w ślady za wodzem do obozu.

Szare niebo ciemniało niebieskawym odblaskiem. Tem bielsze i wyższe stawały się na tem tle bezlistne dęby stuletnie, lub smigłe jodły z sosnami, takie same, jak tam, w Ojczyźnie. Bór szumiał po drodze i zrozumiałym przemawiał językiem. — Była w tym gwarze i skarga szeptana, i pociecha wielka, i nadzieja przyszła Były zbłąkane dźwięki rodzinnej ziemi.

Więc zbudziły się naraz w piersiach hartownych te pieśni, co nam w duszach drzemały.

I leciały te pieśni w ślad za ciemnym sznurem rycerstwa, pod niebem obcem i zimnem, a grała w nich moc i otucha wielka, bo było "*męstwo i wiara!*"

JADWIGA Z ŁOBZOWA.

POWINSZOWANIE.

Zaprzęgnę ja konie
Cztery konie gniade,
Aby powinszować
Do wujcia pojadę.
A gdy będę w lesie
Sproszę wszystkie ptaki,
By śpiewały ślicznie
Wujciowi w dzień taki.
A gdy będę jechał
Po dębowym moście,
To zaproszę szczęście
Już do wujcia w goście.
A gdy będę jechał
Przez wysokie góry,
To z nad czoła wujcia
Spędzę wszystkie chmury...
A gdy mię pod gwiazdy
Poprowadzi droga,
O zdrowie dla wujcia
Będę prosił Boga.
Ustępujcie z drogi,
Bo jadę ogniście...
Z życzeniami spieszyć
Muszę oczywiście.

Żyj dziadunin... tyle lat...
Aż się zmieni cały świat...
Prusak będzie rozum miał,
Odda Polskę... wstyd iż brał...
Moskal sobie pójdzie precz,
Znowu polski błyśnie miecz...
Żyj dziadunin... tyle lat,
Aż wyrosnę... będę chwat...
Pójdziem razem na armaty
Wrogom Polski damy baty.

Chodziłam po łące,
Nazbierałam kwiatki.
Spieszę z niemi, spieszę
Na próg mojej chatki.
Tobie to mamusin
Oddaję w ofierze.
Nie mam co dać więcej,
Przyjmij i to szczerze.
A kiedy urosnę
Będę pracowała
I Tobie we wszystkiem
Będę pomagała.
I kiedy urosnę
Grzeczniejszą się stanę.
Więc powiesz, że Maryś
To dziecko kochane.
Przepraszam za wszystkie
Przewiny, kłopoty...
iech ci odtąd będzie
Każdy dzionek złoty..,
Niech ci nie zabraknie
Nigdy grosza w skrzyni
I niechaj Ci Pan Bóg
Ze sto lat przyczyni.

A dajże wam dobry Boże...
Przy tym Nowym Roku
Czego trzeba, zdrowia, chleba,
Szczęścia w każdym kroku,
I słoneczko na tę wiosnę,
Co przyjdzie do wioski,
I wytrwania w cichej pracy,
Gdy przygniotły troski,
I pogody na te żniwa,
Co ozłocą pola
I nadziei, Bóg da lepiej,
Kiedy czarna dola.

Dawno Krakus zabił smoka.
Maryacka wieża wysoka.
Warszawa nad Wisłą leży,
A czas prędko mija, bieży.

Dziś są cioci imieniny,
Więc u wszystkich dobre miny.
Ja się także bardzo cieszę
Z podarunkiem małym śpieszę.
Aby Bozia wysłuchała,
Aby zdrowia cioci dała..
A wszystkie kłopoty
Niech wiatr porozwiewa,
Niech lecą daleko,
Jako liście z drzewa —
Niech u cioci będzie
Słoneczna pogoda...
I niech figlarzowi
Ciocia rączkę poda!

My malutkie jeszcze dzieci
Czytać się uczymy,
My dopiero na tabliczce
Kryseczki kreślimy.
Więc i życzyć naszej Pani
Trudno nam przychodzi,
Lecz prosimy, niech Bóg dobry
Za trudy nagrodzi,
I niech Pani się doczeka
Tej radosnej chwili,
Gdy powiedzą wszyscy we wsi,
Żeśmy grzeczni byli.

Jechałby ja jechał,
Gdybym konia miał...
Abym ja wujciowi
Co w podarku dał.
Konia nie mam jeszcze,
A więc siedzę w domu,
Nie mam co darować
Szepcę pokryjomu.
A więc piszę liścik drobny,
Nie złocony, nie ozdobny
Piszę piórkiem jako umiem
I tak życzę jak rozumiem.
Niechaj Bozia zdrowia da,
I niech wujcio konia ma,
Niechaj grzeczne będą dzieci
I niech zawsze słońce świeci.

Ja już dawno to słyszała...
Będzie u nas święto...
O maminych imieninach
Mówić mi zaczęto.
Co tu dać?... jak winszować?
Było nad czem się turbować...
„Chodziła czapla po desce.
„Przestać, czy mówić jeszcze?

Jak umiałam, haftowałam,
Podarek przynoszę...
I życzenia moje szczere
Sercem przyjąć proszę.
Wiele lat? o! bez końca!
Żyj mamusiu w blasku słońca.
„Chodziła czapla po desce,
„Przestać, czy mówić jeszcze?

Jeślim kiedy zasmuciła,
Przepraszam, żałuję,
W dzień imienin, poprawić się
Szczerze obiecuję.
Dobrą być, dziś przyrzekam
Zacznę zaraz, bo nie zwlekam...
„Chodziła czapla po desce...
„A w podarku mam to jeszcze!

Dobra moja nianiu!...
Dziś ci powinszuję
I za trudy, za opiekę
Szczerze podziękuję,
Podziękuję za piosenki,
Za bajki ciekawe,
A gdym kiedy dokuczyła,
Przyrzekam poprawę.
Dobra nianiu!.. życzę tobie,
Byś pieniędzy miała
W swojej wiosce śliczną
Chatę sobie zbudowała.
Abyś miała krówki własne,
Kaczki i kurczęta,
I korali dziesięć sznurków
Do stroju na święta,
A ja kiedyś jak wyrosnę
Kupię tobie konia
I przyjadę do twej chaty
Przez zielone błonia.

Gdybym tak jak w bajce
Miał pałac cukrowy,
Cały las z pierników,
Most czekoladowy,
Tobym wszystko mamie
W darze ofiarował,
Ale tego nie mam —
Więc Kazio matusi
Bez słodkich podarków
Powinszować musi.
Bądźże mamo jak ptak w gaju
Wesoła — szczęśliwa.
Niech się tobie życie śmieje
I niech kwiaty zrywa.
Żyj tak długo, jak świat stoi
Mateczko kochana
I mnie kochaj maleńkiego,
Dana! dana! dana!

Tra-ra! tra-ra! tra-ra!...
Dobra ciocia ma...
Bim bam! bim bam! bim bam!
Coś dla cioci mam...
Ale nie dam jeszcze nie,
Aż życzenia złożę me.

Tili-li-li... tili-li-li...
Nie będziemy jedli, pili...
Póki ci nie powinszujemy
Kwiatami udarujemy,
Aby ciocia zdrowa była,
Nigdy się nie zasmuciła,
Aby ciocia ogród miała,
Nas na lato zapraszała.

Tra-ra! tra-ra! tra-ra!
Coś tu ciocia ma,
Bim bam! bim bam! bim bam!
Coś tu cioci dam...
Teraz sobie podskakuje
Teraz sobie wykrzykuje...
Wiwat ciocia!... nad ciotkami!...
Zawsze darzy nas ciastkami...